

ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 5(18) • Maj 2007 • Cena 2,00 zł



ISSN 1897-4023

Złotoryjskie rody

Na zewnętrznych ścianach kościoła Mariackiego w Złotoryi umocowano wiele tablic oraz płyt nagrobnych pochodzących sprzed kilku wieków. Niektóre są bardzo ozdobne, wręcz wykwintne. Jedną z piaskowca, wpuszczoną we wschodnią ścianę świątyni, pokrywa tekst łaciński. Jest to najskromniejsza płyta, na której oprócz tekstu, daty (1536), nazwiska (Georg Helmrich) oraz niewielkiej tarczy herbowej rodu, nie ma żadnych ornamentów.

Ród Helmrichów pojawił się na Śląsku wraz z pierwszą falą kolonizacyjną zapoczątkowaną już za Bolesława I Wysokiego, a kontynuowaną przez jego syna, Henryka I Brodatego oraz jego żonę-Jadwigę Śląską, obecnie świętą, patronkę Śląska i Rzymskokatolickiej Parafii w Złotoryi. Jest wysoce prawdopodobne, że pierwszy przedstawiciel tego rodu na Śląsku kładł fundamenty pod klasztor w Lubiążu. Jest natomiast pewne, że jeden z nich zakładał wieś Dobków, jako Klein Helmrichschorf, w roku 1203 (a więc jeszcze przed nadaniem Złotoryi praw miejskich). Kolejnego przedstawiciela spotykamy na dworze księcia Ścinawy (XIII w.). Helmrich, noszący imię Georg (Jerzy), uwiecznił się na tylniej ścianie ołtarza wykonanego dla kościoła w Świnach (k. Bolkowa), składając tam swój autograf: „george helmrico de auereo monte” (XV).

Pierwszy, wyraźnie złotoryjski, Helmrich wypływa w naszym mieście na przełomie XV/ XVI wieku w kontekście dość złożonym, ale w wyraźnym związku z jednym z elementów najcenniejszego złotoryjskiego zabytku - Wielką Wieżą kościoła Mariackiego. Nie ma wątpliwości, że powstała ona w związku z działalnością Helmrichów.

Wspomniani na wstępie skromny kamień nagrobny poświęcony jest jednemu z najznakomitszych złotoryjan w ogóle - Georgowi III Helmrichowi (wielu przedstawicieli tego rodu nosiło imię Georg = Jerzy). To on spotkał się w Wittenberdze z Valentinem Trozendorfem, był rektorem szkoły w Złotoryi, a powołany następnie na stanowisko burmistrza sprowadził do Złotoryi właśnie Trozendorfa. I była to pewnie jego najświetniejsza decyzja w życiu i jedna z najlepszych w historii Złotoryi.

Począwszy od Georga III, Helmrichowie przez cały „złoty” XVI wiek, zasiadają na szczytach władzy czy to na dworze księcia legnickiego, czy to w Złotoryi, sprawując wielokrotnie urząd burmistrza lub zasiadając w radzie miejskiej. Nie było wtedy ważnego wydarzenia, na którym Helmrichowie nie wyszczęśliłby swojego piętna. Gottlieb Helmrich jest jednym z owoich siedmiu mieszczan ocalałych z tragedii zarazy w roku 1553. Był uczestnikiem tego dramatycznego „występu” w noc wigilijną, który czytali później niezliczone pokolenia złotoryjan do roku 1944. Współczesna Złotoryja także uszanowała tę wartościową tradycję i 50 lat po wojnie śpiewy bożonarodzeniowe wpisywały się na stałe w świąteczny krajobraz Złotoryi. Coroczna Wigilia w Rynku jest jedyną tego typu imprezą w Polsce, a ze swoją ponad 400. letnią tradycją - chyba także w Europie.

Inne gałęzie rodu Helmrichów (poza złotoryjską), doszły także do wielkiego znaczenia, np. jeden z Helmrichów, uczestnik wojny 30- letniej został pochowany w kościele w Wolowie, przed samym ołtarzem. Natomiast w Złotoryi jedna z córek burmistrza Jana Helmricha (Zofia) wyszła za mąż za przedstawiciela rodu Feige, który to ród po stuletnim „panowaniu” (XVI w.) Helmrichów przejął na 200 lat „władzę” w Złotoryi. Ślady pozytywnej działalności tych rodów widzimy w Złotoryi do dziś.

Pierwszych znaczących zmarłych Helmrichów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, chowano w Wielkiej Wieży Kościoła Mariackiego, w pomieszczeniu nazywanym „kryptą Helmrichów” lub „komorą siedmiu śpiących”. Pozostali przedstawiciele rodu mieli swój rodzinny grobowiec na cmentarzu, tuż po lewej stronie bramy wejściowej; istniał on jeszcze pod koniec lat 50. Teraz ten grobowiec wykupiła polska rodzina, lecz burmistrz Złotoryi oraz konserwator zabytków wyrazili zgodę na umieszczenie na murze cmentarnym dwujęzycznej tablicy. Z tej okazji odwiedził Złotoryję Herbert Helmrich (11.05.2007r.).

Helmrichowie przybyli na Śląsk, w ramach pokojowej kolonizacji, na zaproszenie piastowskich książąt śląskich. To mniej więcej tak, jak obecnie politycy polscy szukają na Zachodzie kapitału i usiłują sprowadzić go do Polski. Historia zatoczyła krąg.

Przed kilkunastu laty (1996) przyjechał do Złotoryi potomek słynnej burmistrzowskiej rodziny - Herbert Helmrich. Na szczęście nie była to zarazem wizyta ostatnia. Urodził się w Luckau (1934). To, to samo miasto na Łużycach, z którym nasze LO już w 1974 r. nawiązało przyjacielskie kontakty. Lecz te dwie sprawy nie mają żadnego bezpośredniego związku. W połowie lat 70. nikt jeszcze w Złotoryi nie wiedział, czy ktoś z tej słynnej rodziny jest jeszcze wśród żywych. Zdziwianym jest jednak to, że potwierdzenie tego faktu udało mi się uzyskać dopiero 20 lat później i to właśnie w związku (!), kiedy pod Bonn uczestniczyłem w rozmowach (1996) na temat zorganizowania w naszym Liceum klas dwujęzycznych. Zatem korzenie „brata Herberta” (jest honorowym członkiem PBKZ oraz TMZZ) znajdują się w Złotoryi ponad wszelką wątpliwość, ale jego Heimatem (osobistym) Złotoryja nie jest. Z tego samego względu nie należą też do wypędzonych (wysiedlonych), nie ma też związku z Powiemnictwem Pruskim.

Herbert Helmrich, jak wszyscy jego wielcy poprzednicy, jest prawnikiem. Także i on sięgnął szczytów władzy; był członkiem Landtagu i Bundestagu, a do dziś jest przewodniczącym Fundacji Współpracy Polsko - Niemieckiej. Z pozycji tego stanowiska stara się jak najlepiej służyć miastu swoich przodków (na remont LO, budowę „zameczku” nad zalewem, remont Osrodka TMZZ i Schroniska Młodzieżowego, wydawnictwa, itp.- do Złotoryi skierował miliony złotych). Pewnie wolałby, żeby Złotoryja nazywała się Goldberg. To ludzkie i zrozumiałe i kto jak kto, ale Polacy potrafią uszanować takie uczucia; przecież na „swoim” wschodzie musieli też zostawić Lwów, Stanisławów, Koloniję... Herbert Helmrich jest Europejczykiem. Potrafi i chce rozmawiać ze wszystkimi władzami Złotoryi, bez względu na ich polityczne zabarwienie. Jakoś nie daje mam do zrozumienia, on: Niemiec, chadek, protestant, że czyni coś specjalnego dla „polskiej” młodzieży, złotoryjskiej „lewicy” lub złotoryjskich „katolików”. Wzniósł się ponad wszelkie podziały.

Byli w tym rodzcie burmistrzowie, radcy dworu książęcego, rektorzy, profesorowie, rajcy, literaci. Herbert Helmrich jest Europejczykiem. Jest dumny z dokonań swego rodu, ale pamięta też, że jego przodkowie byli poddanymi piastowskich książąt śląskich w Legnicy, z którymi zgodnie współpracowali dla pomyślności miasta i jego mieszkańców.

Alfred Michler



11 maja br. pan Hubert Helmrich przyjechał do Złotoryi, by odsłonić symboliczną tablicę nagrobną umieszczoną na cmentarnym murze, w miejscu, gdzie kiedyś był grobowiec rodziny Helmrich, a ufundowaną przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Robert Pawłowski: Jakie uczucia towarzyszą panu, gdy odwiedza pan Złotoryję?

Herbert Helmrich: Dwa. Cieszę się, że przybywam do przyjaciół. Mam także stare uczucie, ponieważ mój ojciec wiele mi opowiadał. Mój ojciec tu dorastał i tu żył. Wiem dużo także od mojej babci Małej Babcie Helmrich. Tu żyli także moi dziadkowie. Mam więc uczucie, jakbym przyjeżdżał do domu. Jeżeli ktoś tu żył, chodził do szkoły i nagle stają przed budynkiem szkoły, do której chodził mój ojciec to jest wspaniałe uczucie. Te uczucia rozwijają się z biegiem lat. W 1996 r. otrzymałem od pana Michlera list z zapytaniem, czy mam coś wspólnego z Helmrichami, którzy kiedyś żyli na Dolnym Śląsku. Odpowiedziałem, że nie tylko nazywam się Helmrich, ale jestem tym właśnie Helmrichem, potomkiem rodu, który przez ponad siedemset lat mieszkał na Ziemi Złotoryjskiej. Załączyłem do listu świadectwo szczepień i świadectwo szkolne mojego ojca. Po czterech miesiącach byłem już w Złotoryi.

R.P.: Ico czuł pan wtedy?

H.H.: Ciekawość. Gdy poznaję nowych ludzi, nie mam jakiś konkretnych oczekiwań. Ale miałem również uczucie, które przekazał mi mój ojciec. Ja tu nie mieszkałem, ale mieszkał tu mój ojciec i moja cała rodzina. Znałem te miejsca z opowiadań ojca o jego dzieciństwie. Kiedy mój ojciec opowiadał o swoim dzieciństwie: tu biegaliśmy, tu waliśmy się, stąd zjeżdżałem na sankach - biorę to teraz do siebie. Widzę tę górę, wyobrażam sobie śnieg i oczami wyobraźni widzę zjeżdżającego na sankach ojca. To jest zbiór uczuć: tych które zostały po sobie mój ojciec oraz moich osobistych.

R.P.: Był pan przed wojną w Złotoryji?

H.H.: Przed wojną przejeżdżałem tylko przez Złotoryję. Mój dziadek żył tutaj do roku 1932. Dziadek sprzedawał swoją posiadłość w Złotoryi. Mój ojciec wyprowadził się do Luckau, gdzie

się urodziłem. Byłem wtedy małym chłopcem. Przejeżdżaliśmy obok folwarku mojego dziadka. Mój ojciec powiedział: tutaj dorastałem, w tym domu mieszkałem. Droga tam jest powyżej miejsca, na którym stoi dom, więc odniosłem wtedy wrażenie, że dom był bardzo mały, pamiętam, że pomyślałem: jak tam mogli pracować ludzie?

R.P.: Pana ojciec wyprowadził się ze Złotoryi w latach dwudziestych, dlaczego?

H.H.: Mój ojciec był duszą i ciałem rolnikiem. Przed pierwszą wojną światową praktykował w majątku w Pielgrzymce. Po powrocie z I wojny światowej dalej się kształcił. W tym czasie dziadek sprzedał folwark. Mój dziadek bardzo wcześnie stracił żonę i ożenił się po raz drugi - to była Mała Babcia Helmrich. Mała Babcia Helmrich była niesamowicie kochana przez całą rodzinę. Ale Mała Babcia Helmrich nie chciała żyć na roli. Dlatego dziadek sprzedał majątek. Ojciec zarządzał cudzymi majątkami. Zarabiał pieniądze i oszczędzał, by kupić własne gospodarstwo. Osiedlił się w Luckau, gdzie poznał swoją mamę. Tam urodziła się moja siostra i ja. Pracował i oszczędzał. Gdyby nie wojna, pewnie zrealizowałby wreszcie swoje marzenie i kupił ziemię, niestety wszystko przepadło.

R.P.: W późniejszych latach myślał pan o rodzinnych stronach swojego ojca? Zastanawiał się pan, co tu się dzieje, jak to wszystko wygląda?

H.H.: Trochę. W NRD byłem więźniem politycznym. Po powstaniu w Berlinie, 17 lipca 1953 r., wyjechałem z NRD i nigdy już tam nie wróciłem. Nie odwiedzałem także pozostałych krajów socjalistycznych. Moja siostra przyjechała kiedyś do Złotoryi. Trafiła akurat na czas, gdy cmentarz niemiecki był mocno zdewastowany i niszczone. Było to dla niej traumatyczne przeżycie.

Przedtem znalazłem te miejsca z opowiadań, dopiero po upadku Muru mogłem zobaczyć wszystko na własne oczy. Najpierw jednak poznałem na nowo byłe tereny NRD, gdzie na początku lat dziewięćdziesiątych z ramienia CDU zostałem posłem w okręgu Schwerin.

R.P.: Dla przeciętnego człowieka historia jego rodziny to dwa, maksymalnie trzy pokolenia wstecz. W pana przypadku to ponad 800 lat. Jak pan to znosi?

Racjonalizm i emocje

H.H.: Wychowywałem się z tym. Czytałem też w naszej kronice rodzinnej, którą na początku lat 70. uzupełniła moja mama. Teraz kronikę prowadzi moja żona. Jako dzieci różnie się do tego odnosiliśmy. Pierwszy Helmrich, który przybył na te ziemie, osiedlił się w Lubiążu, równoległe z cystersami. Stąd moje zainteresowanie historią. Jako poseł w Bundestagu stykałem się z międzynarodowymi koncernami i dostrzegłem wiele analogii do organizacji zakonów benedyktyńskiego i cysterskiego w średniowiecznej Europie. Benedyktyni mieli dwa tysiące klasztorów od Szwecji po Afrykę Północną. Od Anglii do Jeruzolimy. Cystersi mieli tysiąc siedemset klasztorów. Także w całej Europie. Komunikacja między klasztorami odbywała się pieszo lub zaprzęgami, które ciągnęły woły. Mnisi potrzebowali trzech lub czterech miesięcy, by przebyć te odległości. Żadnych komórek, żadnych samochodów, niczego ale centrala kierowała wszystkim! Zakony posiadały manufaktury, folwarki, zakłady górnicze, w tym wielkie przedsiębiorstwa międzynarodowe kierowane z jednego miejsca.

Historia była cały czas obecna, gdy dorastałem. Dzieje przodków są dla mnie zobowiązaniem.

R.P.: Odczuwa pan to jako ciężar?

H.H.: Rodzice zawsze nam powtarzali: zachowujcie się przyzwoicie, nie przynoście nam wstydu! To samo powtarzał im dziadek, a wcześniej pradziadek: nie przynoście nam wstydu. To może wydawać się dziwne, ale to tkwi we mnie bardzo głęboko. Jeżeli kocha się swoich rodziców, jeżeli ma się do nich szacunek, to bierze się do serca ich słowa. Jestem adwokatem, wybudowałem kancelarię, w mieście Buchholz jestem poważanym mieszkańcem, byłem ministrem, posłem, politykiem, ale kiedy muszę o czymś ważnym zdecydować, zastanawiam się, co powiedziałyby moja mama, co powiedziałyby mój ojciec. Przyszłość mojej rodziny stanowi fundament do podejmowania decyzji. To jest dobry doradca. Tak żyje z moim sposobem myślenia. Ale czerpię nie tylko z przeszłości, słucham również innych doradców.

Dlaczego Georg III, który studiował z Trozendorfem u Lutra, gdy będąc burmistrem w XVI-wiecznej Złotoryi , wskutek zamieszek wywołanych przez odłam protestantów, musiał wyjechać z miasta, udał się po pomoc do Krakowa, do polskiego króla? Polski król użył swoich wpływów u księcia legnickiego, by książę wpłynął na mieszczań, aby przywrócili Georga na stanowisko. Książę jednak próbował zniechęcić Georga, mówiąc: warz piwo albo zajmij się czymś innym. Nie, ja jestem burmistrem! Upór i zdolność znajdowania sojuszników. Nie, historii mojej rodziny nie odczuwam jako ciężar.

R.P.: Na Dolnym Śląsku niszczeje wiele zabytków. Wielu Polaków nad tym ubolewa, ale podejrzewam, że pana jako Niemca tym bardziej to boli.

H.H.: Osobiście nie przeżyłem tego tak mocno tutaj, jak w byłym NRD. Miejsca, które znalazłem z dzieciństwa i lat młodości, popadły w ruinę. Gdy w 1996 r. przyjechałem do Złotoryi, widziałem zaniebane kamieniczki, podpory w rynku i to trochę mnie irytowało, ale przecież Niemcy przez wojnę doprowadzili do wielu zniszczeń. Zdaję sobie sprawę, co Niemcy zrobili i z tego powodu cierpię. Dzisiaj cieszę się, gdy widzę odnowione kamienice. Jechałem kiedyś przez Wrocław ze swoimi współpracownikami z Fundacji i spytałem go, co sądzi o tych niszczeniach zabytkach oraz o ich

restauracji. On mi odpowiedział: Panie Helmrich, ja należę do innej generacji, mnie to mało obchodzi. Malbork był w oficjalnej polskiej historii symbolem strasznej niemieckiej dominacji. Gdy po raz pierwszy pojechałem do Malborka, sądziłem, że nie znajduję tam nic niemieckiego. Co zrobili Polacy? Stoł polski restaurator, przy gotyckich drzwiach i odnawia małego aniołka. Każda figurka przy tych drzwiach została odrestaurowana w najdrobniejszych szczegółach! Pomyślałem sobie: Oni zwariowali! Oni restaurują symbol niemieczyzny! Nie, oni mają szacunek dla historii i część dziedzictwa niemieckiego pojmują jako sztukę, jako dzieło historii i pielęgnują.

R.P.: Stosunki polsko-niemieckie budzą nadal wiele kontrowersji...

H.H.: W jednym z wydawnictw, które ukazało się w Złotoryi sześć lat temu, przeczytałem: Helmrich z pewnością chętnie powróciłby do Złotoryi, ale ten Helmrich jest teraz Europejczykiem. Musimy spoglądać w przyszłość. Naszym zadaniem jest, aby następne generacje naszych dzieci, polskich i niemieckich, na trwałe żyły w pokoju. To jest moja praca. To jest moje zadanie, dlatego tkwią w tej „przekletej” Fundacji. Kosztuje mnie to sporo pracy i to pracy, za którą nie otrzymuję wynagrodzenia. Teraz byłem właśnie we Wrocławiu, gdzie zasiadałem w jury polsko-niemieckiego konkursu dziennikarskiego. To właśnie jest moja zwykła praca dla umacniania dobrych stosunków niemiecko-polskich. A gdy mam chwilę wolnego czasu, natychmiast przyjeżdżam do Złotoryi. Dzisiejsza uroczystość sprawiła mi wiele radości i wzruszyła mnie ogromnie, ale przede wszystkim przyjechałem tu do przyjaciół. Ile pracy wykonał pan Banaszek i inni? Jestem im bardzo wdzięczny. Dla mnie wspaniałe jest, że przez te ostatnie dziesięć lat, ludzie, których przedtem zupełnie nie znałem, stali się moimi przyjaciółmi i mam nadzieję, że mnie również uważają za swojego przyjaciela. Są ludzie, którzy robią więcej niż muszą. Moja definicja elity jest następująca: do elity należą ci ludzie, którzy robią więcej, niż to leży w ich służbowych obowiązkach.

R.P.: Proszę powiedzieć, czy Polacy, którzy mieszkają teraz na tych ziemiach, mogą czuć się spadkobiercami kultury, którą tworzyli i pozostawili tutaj Niemcy?

H.H.: Myślę, że jest to możliwe. Do mojej pracy, do pracy Fundacji, należy również wspólnie z Polakami transformacja niemieckiego dziedzictwa. Trzeba może trochę zachować, może trochę wyjaśnić. Cieszę się, że jest wiele przykładów na to, że Polacy w stosunku do dziedzictwa niemieckiego postępują mądrzej, niż Niemcy swego czasu. Niemcy zepsuli swoją historię. Niemcom jest trudno nawiązywać do historii sprzed II wojny światowej. Polacy nie mają tych problemów, dlatego łatwiej podjąć im w tym zakresie działania z innymi.

Mój ojciec, ale w szczególności moja mama, uczyli nas, kto jest dobrym a kto złym człowiekiem. Moja mama rozróżniała ludzi na podstawie dobroci serca. Czy opiekuję się dziećmi, czy pomaga innym ludziom tak ich rozróżniała. Tego także uczył się mój ojciec w tej szkole (przy ul. Kolejowej dop. RP). Jeżeli taki duch panuje nadal w tej szkole, to mogę to także uznać jako kontynuację niemieckiego dziedzictwa. Kultury się mieszają. Panowie Banaszek i Gorzkowski opowiadali mi, jak szukali ulicy w Niemczech. Jedna z ulic nazywała się Rübezahl (liczyrzepa). Jak to Liczyrzepa? Przecież Liczyrzepa występuje w polskich bajkach - dziwili się. Wy macie

Liczyrzepę i my również. Trzy lata mieszkałem u wujka w Goduszynie pod Jelenią Górą, gdzie chodziłem do szkoły. Tu poznałem bajki karkonoskie. I tam był Liczyrzepa. Pan Gretschel opowiadał mi o polskiej inscenizacji bitwy z 1813 r. pomiędzy wojskami napoleońskimi i pruskimi pod Legnicą. Wtedy pojawiła mi się w głowie myśl, że oni uczestniczą w naszej historii śląskiej historii. Jeżeli w ten sposób postzegamy historię, to widzimy, że nawet, gdy wskutek migracji zmieniają się duże części grup społecznych, kultura danej ziemi trwa. Nigdzie w Europie nie było jednak czegoś takiego jak na Dolnym Śląsku.

Moja rodzina osiemset lat - żyła pod Piastami, pod Czechami, pod królem węgierskim, pod cesarzem austriackim, pod Prusami, pod Rzeszą Niemiecką. Przeszedł Stalin i wszyscy musieli się wynieść. Według mnie, Złotoryja, a w sumie cały Dolny Śląsk należy znowu do Polski, ale to przede wszystkim Śląsk. Na samym początku to był Dolny Śląsk. Na Dolnym Śląsku, w Złotoryi, w Jeleniej Górze Piastowie sprowadzili Niemców i osadzili. Wprowadzili do miast prawo niemieckie. W podręcznikach historii mówi się, że tereny te zawsze były polskie. Helmrichowie przybyli tu za panowania Piastów w XIII w. Jeżeli ktoś mnie chce zdenewrować i pyta- Co Niemcy mają tu do szukania?- odpowiadam: zupełnie nie. Piastowie zaprosili nas tu jako gospodarbeiterów, pracualiśmy 750 lat, po czym odesłano nas z powrotem do domu.

Historia jest przypisana do ziemi. Do konkretnych miejsc. Poprzez pielegnowanie pewnych zwyczajów, tradycji takich jak np. Płuczki, śpiewy wigilijne czy chociażby legenda o Liczyrzepie, świadomie lub nieświadomie następuje przekazanie części dziedzictwa kulturowego następnym pokoleniom. To także nawiązanie do nazw niemieckojęzycznych w nazwach miejscowości: chociażby w przypadku Złotoryi.

I nie tylko w Złotoryi tak się dzieje, ale np. w Jagniątkowie, gdzie powstało centrum kulturalne Gerarda Hauptmanna wybitnego poety niemieckiego.

R.P.: Niedługo będzie 800-lecie Złotoryi, czy weźmie pan udział w obchodach?

H.H.: Jeżeli będę żył, to na pewno. Mam oryginalny plakat z obchodów 700-lecia Złotoryi, który, o ile moja rodzina się na to zgodzi, chciałbym przekazać moim przyjaciołom z TMZZ jako depozyt.

R.P.: Ma pan jakieś marzenie związane ze Złotoryją?

H.H.: Jestem wykształconym prawnikiem i z racji wykonywanego zawodu, i wykształcenia kieruję się racjonalizmem, ale wszyscy ludzie mają emocjonalne priorytety. Ja także jestem człowiekiem ulegającym emocjom. Bardzo lubię tu przebywać. Tu leżą kości moich przodków, ale tu przede wszystkim mam przyjaciół i chciałbym się z nimi częściej spotykać.

Bardzo dziękuję panu Alfredowi Michlerowi, za pomoc przy przeprowadzeniu i tłumaczeniu wywiadu.

Robert Pawłowski





Okna mieszkania pani Zofii wychodzą na zachód. Rozciąga się z niego rozległy widok na ogródki działkowe, za nimi widać domy na Garbarskiej i Zagrodzińskiej, a dalej zielone wzgórza. Na białą kwitną śliwy, na żółto forsycje, a na tle czarnej jeszcze ziemi kolorowe wiosenne kwiaty. Na tle błękitnego nieba odcinają się czarne gałęzie drzew, pokryte o tej porze roku zieloną mgiełką. Pani Zofia patrzy z zadumą na widok, który zna chyba na pamięć od trzydziestu lat, a jednak nigdy jej się nie nudził.

Koropiec - duża wieś, a raczej już małe miasto w powiecie Buczackim, pięknie położone nad Dniestrem posiadało aż 1800 numerów. W Koropcu była szkoła, gospoda, młeczarnia, sporo sklepów, a nawet szpital. Oprócz Polaków mieszkali tam Ukraińcy i Żydzi. Dziadek Zofii Łukasiewicz był przez kilka lat wójtem w Koropcu. Był szanowanym człowiekiem.

Zosia była dzieckiem wojny, bo urodziła się w kwietniu tego roku, gdy na Polskę spadły niemieckie bomby. Na szczęście nie pamięta tej grozy. Natomiast dobrze pamięta, jak pewnego razu do domu przyszli niemieccy żołnierze i zażądali od babci zabicia kury. Przynieśli za to całe wiadro słodkiego cukru. Wtedy to był majątek! Pamięta też, jak inni żołnierze niemieccy, którzy pracowali przy radiostacji, zabawiali ją, pokazując skomplikowane urządzenia. Widziała też, jak inni, po powrocie z frontu, dawali babci do prania swoje ubrania. Babcia najpierw moczyła brudną, zawsoną bieliznę, potem gotowała ją w ogromnym kotle i oddawała czystą. Żołnierze zawsze odwiedzali się, dając rzeczy do jedzenia, które Zosia rzadko widywała w swoim domu.

W listopadzie 1945 r. Polakom kazano wyjeżdżać do nowej Polski, którą urządzono na Zachodzie, gdzie do tej pory było państwo niemieckie. Z urzędu dano wysiedleńcom furmanki, ażeby mogli dojechać na stację kolejową oddaloną od Koropca o kilka kilometrów. Na stacji czekały szalasy ze słomy. W nich mieli czekać kilka dni na pozostałych wysiedleńców. Gdy przybyli już wszyscy, którzy mieli jechać do Polski, postawiono pociąg. Zosia cieszyła się, bo do tej pory tylko kilka razy jechała pociągiem. Ale dla ludzi przeznaczone były odkryte wagony, bez dachów, tzw. lory. Te z dachem były dla zwierząt, których można było ze sobą zabrać po jednej sztuce na rodzinę.

Rodzina Łukasiewiczów była rozległa. Ojciec Zosi miał kilku braci, którzy mieszkali ze swoimi rodzinami w Koropcu. Mieli szczęście, że umieszczono ich wszystkich w jednym wagonie.

końcu, po dwóch tygodniach pociąg przyjechał do Wrocławia. Stamtąd zabrano ich ciężarówkami do Chojnowa. Zosia do końca życia będzie pamiętać swój paniczny strach, gdy kazano jej usiąść na workach z kartoflami. Ciężarówka była odkryta, Zosia nie miała się czego przytrzymać ani się o co oprzeć. Samochód trząsł się na wybojach i jechał tak szybko!

Złotoryję zobaczyła Zosia 10 grudnia. Jej rodzina osiedliła się w opuszczonych domach przy obecnej ulicy Piastowej. Rodzice, nie wiadomo dlaczego, nie rozpakowywali rzeczy, jak gdyby na coś czekali.

Z tymczasowego domu do miasta szło się stromą ścieżką najpierw w dół, potem ulicą pod górę. Koło stacji kolejowej przechodziło się przez most na rzecce Kaczawie, która nie była taka jak szeroki Dniestr, ale w pamięci małej Zosi mało już pozostało obrazów z tamtego życia. Ta rzeka warkło toczyła swoje wody po kamiennym dnie i wyglądała jak srebrna niteczka. Wszędzie dokąta było tyle nowych rzeczy! Domy były murowane z czerwonej cegły, w miście trzy kościoły i tyle sklepów! Sześcioletnia Zosia polubiła nowe miejsce, polubiła też samotne wyprawy do miasta. Była dumna z tego, że nigdy nie zgubiła powrotnej drogi do domu.

Na wiosnę Zosia wraz z rodziną wyjechała do Nowej Wsi Złotoryjskiej. Ta wieś była zupełnie inna niż rodzinny Koropiec Zosi. Domy tu były bardzo duże i wszystkie murowane! Przez wieś przebiegała bita droga, na której nie było błota po deszczu. Łukasiewiczowie zamieszkali w ośmiohektarowym gospodarstwie wraz z mieszkającymi tam jeszcze dwiema niemieckimi kobietami. Ich mężczyźni nie wrócili jeszcze z wojny. Zosia widziała fotografie w ramach przedstawiające żołnierzy w ciemnych mundurach. Kobiety polskie i niemieckie porozumiały się bez problemów co do korzystania z kuchni, przyjmowania gości, czy innych codziennych bytowych spraw. Przestrzeń mieszkalna została podzielona na wspólną kuchnię i oddzielne pokoje. Obie Niemki żyły się z osiedleńcami. Nawet często pilnowały Zosi i jej młodszego o cztery lata brata, gdy mamusia musiała wyjechać do miasta. Dla rodziny Łukasiewiczów zaczęło się nowe życie.

Obok domu rodziny Zosi mieszkała jej babcia, nieco dalej liczni wujkowie. Czuli się bardzo dobrze, bo byli wśród swoich. Kilka miesięcy później przybył do wsi nowy transport osiedleńców. Tym razem z okolic Wilna. Na początku nie było dobrze. Ci nowi uważali się za prawdziwych Polaków, a na Zosię i jej rodzinę mówili, że są

Znad Dniestru

Dzieciom zrobiono dach z jakichś pak i skrzyń, lecz mimo to nie uniknęły przeziębień. Był listopad i zimno dawało się we znaki. Na postojach kobiety biegały do pobliskich wsi i wzdłuż pociągu w poszukiwaniu lekarza bądź leków dla chorych pociec. Mimo że na postojach przynoszono z parowozu gorącą wodę do mycia, wszyscy byli bardzo brudni. Zosia pamięta, że ciągle ją gryzły wszy. Dla małej Zosi podróż ciągnęła się w nieskończoność. W

W 1947 roku Zosia poszła do szkoły. Co prawda, miała dopiero 6 lat, ale kuzynka Stefa była o rok starsza, dlatego ich mamusie zdecydowały, że razem dziewczynkom będzie różniej. Z Nowej Wsi do Złotoryi było cztery kilometry. Czasem dziewczynki podwoził jeden z tatusiów rowerem, ale to było rzadko. Najczęściej chodziły do szkoły, która mieściła się przy ulicy Konopnickiej, piechotą. Droga z Nowej Wsi do miasta była kręta, obsadzona drzewami owocowymi: jabłoniąmi, gruszą i czereśniami. W rowach przydrożnych rosło mnóstwo poziomki. Zosia do dzisiaj pamięta niezwykły smak jablek i cudowny aromat poziomki. Pewnego razu dziewczynki zboczyły z drogi i zobaczyły kryształicznie czysty strumyk, a w nim pływały sobie przepiękny pstrąg. To były



niezapomniane chwile. Obowiązkiem dzieci we wsi było pasać krowy, dlatego dziewczynkom po lekcjach nie spieszyło się do domu. Przecież one miały tyle ważnych spraw po drodze! A krowy? Niech czekają!

Ale były też i chwile grozy w drodze do szkoły. Pewnego razu na wiosnę gwałtownie się ociepliło i śnieg wręcz tajał w oczach. Po drogach płynęły małe strumyki. W jednym miejscu dwie siedmioletnie dziewczynki zobaczyły, że woda płynie warkło w poprzek drogi. Stefa stwierdziła, że to powódź i nie mogą dalej iść. Woda sięgała im już po kostki. Wystraszone zawróciły biegiem po tatusiów do pobliskiego pegeeru. Jeden z nich przeprowadził je bezpiecznie przez wodę i mogły iść do szkoły.

Uroczystość I komunii św. odbywała się w kościele św. Jadwigi. Duży kościół był jeszcze wtedy niezainicjowany. Zosia miała na tę okoliczność

nad Kaczawę

sukienkę przywieziona ze starego domu, ale po przymiarce okazała się za mała! Mamusia zmuszona była doszyć falbanę z innego materiału, aby sukienka mogła sięgać skromnie do kolan. Na zdjęciu Zosia w pięknej sukience z trzema falbankami prezentuje komunistyczny obrazek.

Święcenie jacek na Wielkanoc odbywało się w kościele w Złotoryi. W Wielką Sobotę Zosi został wręczony koszyczek z jawkami, które miała zanieść do święceni. Pogoda była piękna, a Zosi trochę się nudziło. Aby sobie urozmaicić drogę, na ulicy Zielonej postanowiła wspinać się na murek. Niestety, nie utrzymała równowagi. Przewróciła się, a wraz z nią koszyczek ze święconką. Zosia z przerażeniem patrzyła, jak wypada z niego jajko, toczy się, podskakując, po kamieniach i - o zgrozo! Skorupka pęka, a z jajka wypada żółtko ugotowane na twardo i toczy się dalej. Zosia zamarała ze strachu. Nagle ocknęła się i pobiegła za tym nieszczęsnym żółtkiem na sam dół ulicy Zielonej. Do dzisiaj nie pamięta, jak doszła z koszyczkiem do kościoła i jak udało się ukryć przed mamusią ten straszny uczynek.

Gdy panna Zofia pobierała nauki w Liceum Ogólnokształcącym w Złotoryi, do domu swoich rodziców w Nowej Wsi przyjechał Adam. Adam Bogdan był wysokim młodzieńcem, miał 23 lata i był już po wojsku. Na nowo ziemie przyjechał z rodzicami ze wsi Paciuny w gminie Mieszagała. Jego wieś była oddalona od Wilna 30 kilometrów. W marcu 1945 roku Bogdanowie otrzymali od pełnomocnika Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego kartę ewakuacyjną. Formularz wydrukowany był dwujęzycznie: po polsku i po litewsku. Na dole, wśród licznych pieczęci litewskich koloru fioletowego, widniała okrągła czerwona pieczęć z polskim orlem i polskimi napisami. Dokument szczegółowo określał, iż z terytorium Litewskiej SRR ewakuuje się do poznańskiej gminy Juliana Bohdana wraz z żoną i czworgiem dzieci. Oprócz rodziny, wyżej wymieniony obywatel przewoził ze sobą zwierzęta: jednego konia, cztery sztuki rogacizny, cztery świny, sześć kóz, dziesięć sztuk drobiu, a z maszyn rolniczych: dwa siewniki, trzy brony, siewczarnię, wóz i sanie. Z produktów żywnościowych Bogdanowie przewozili 800 kg ziarna oraz innych przedmiotów użytku domowego w ilości 1000 kg. Władze litewskie pozwalały wywieźć przesiedleńcom więcej rzeczy, niż władze Ukrainy, skąd wyjechała rodzina Zosi. Z takim inwentarzem Bogdanowie mogli po przyjeździe na Zachód godnie zacząć nowe życie.

Transport do Polski miał być w lipcu, ale władza przełożyła termin, bo trwała tak zwana akcja żniwna. Ponieważ transport nadal nie było, jesienią ojciec Adama postanowił zasiać pszenicę ozimą. Udał się na pole i przystąpił do siania. Nagle zauważył, że w jego kierunku biegnie sąsiad, wymachując rękami i krzycząc, żeby przestał siać, bo wkrótce wyjeżdżają. To był ostatni transport z Litwy. Wyjechali w październiku. Rodzina Adama zgodnie z kartą ewakuacyjną miała jechać w Poznańskie, ale tam już nie przyjmowano przesiedleńców. Początkowo zamieszkali więc w Olsztyńskiem, a do Nowej Wsi Złotoryjskiej przyjechali w 1953 roku.

Adam chodził do Zofii ponad trzy lata, zanim w końcu się pobrali. Zofia miała dobry charakter i była piękną dziewczyną. Do dzisiaj jest piękna, jak twierdzi jej mąż. Godnie razem przynajmniej, że to było ich przeznaczenie, że spotkali się i zostali małżeństwem.

Obecnie Zofia i Adam Bogdanowie mieszkają w Złotoryi w pięknym domu z zegarem słonecznym. Po ponad 40 latach wspólnego pożycia wciąż patrzą na siebie z czułością. Ich dzieci wyjechały, znalazły sobie nowe miejsce. Zofia i Adam już stąd nie wyjadą, bo tu jest ich dom. Na zawsze.

Wspomnienia spisała Agnieszka Młynczak

Ksiądz też człowiek

Mijani na ulicy w sutannach, często wzbudzają nasze zdziwienie. A czy próbowaliśmy przyjrzeć się bliżej ich życiu? Jak to się stało, że zostali księżmi? Co ich zafascynowało? Postanowiliśmy podjąć to wyzwanie.

Ksiądz Tomasz Baran jest to wikary parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Złotoryi, absolwent I Liceum Ogólnokształcącego w Legnicy, młody ksiądz zaledwie pięcioletnim stażem, osoba wesola, pełna uśmiechu i życzliwości. To właśnie on swoją postawą skłonił nas do przeprowadzenia tego wywiadu.

- Czy ksiądz od zawsze chciał poświęcić życie Bogu?

- Nie! Na początku chciałem zostać prawnikiem. Lubię dużo czytać, interesuję się historią, z której nawet zdawałem maturę, ale pomyślałem, żeby zostać księdzem, zrodził się w ósmej klasie szkoły podstawowej.

- Ktoś wpłynął na księdza, żeby go ukiernikować?

- Przede wszystkim księź. Był taki ksiądz, który przygotowywał mnie do bierzmowania. Właśnie w ósmej klasie, kiedy mi się to wszystko w głowie pojawiło, kierował tymi moimi myślami. Czy było to już powołanie? Nigdy się tego do końca nie wie. Nawet ludzie w seminarium nie mogą do końca powiedzieć, że mają powołanie. Dowodem na to są dopiero święcenia.

Powołanie nie zawsze odkrywa się samodzielnie, czasami jest nam potrzebna pomoc z zewnątrz.

- A czasy szkoły średniej?

- Klasa moja liczyła 25 osób. Wychowawcą była pani Renata Kominiarczuk. Jak to w klasie bywa, jednych lubiło się bardziej, innych mniej, niektórych wcale, ale cieszę się, że po 11 latach moja paczka dalej ma ze sobą kontakt i widzimy się chociaż od czasu do czasu. Z moich znajomych wszyscy ukończyli prawo, prócz mnie i aktora - Tomka Kota. Bardzo lubiłem imprezować, szczególnie na tzw. osiemnastkach.

- Były w życiu księdza jakieś miłości bądź sympatie?

- Tak, było ich kilka, nawet jedna koleżanka podobała się mnie i Tomkowi Kotowi, ale z żadną dziewczyną z mojej klasy nigdy nie chodziłem. Czasy szkoły średniej mamy już za sobą. Jak widać, ksiądz był normalnym, młodym człowiekiem, który lubił to samo co inni. Znam księdza osobiście i mogę powiedzieć, że dużo nawyków z czasów szkoły średniej zostało mu do dziś.

- Jak wspomina ksiądz czasy seminarium? Czy



został ksiądz w nim jako specjalnie wyróżniony? Czy miał ksiądz jakiś kryzys, chciał odejść z seminarium?

- Czasy seminarium wspominam mile. Kryzys pojawił się na drugim roku. Spowodowany był on nawalem nauki, sesjami i warunkami mieszkalnymi, ale kolechy namówili mnie, żebym nie podejmował pochopnych decyzji i, jak się okazało, wystarczyło się tylko wyspać i wszystko wróciło do normy. W seminarium zostałem bardzo wyróżniony, gdyż 2 czerwca 1997r. podczas wizyty w Legnicy Ojca Świętego Jana Pawła II uczestniczyłem w procesji z darami. Papier uściśnięt mi dłoń, zamienił jedno zdanie i podarował różaniec, który jest dla mnie najcenniejszą pamiątką, jaką posiadam.

- Czy kapłan może pozwolić sobie na ryzyko, szaleństwo?

- Tak, ja na przykład skoczyłem na bungee!

- Co było lub dalej jest księdza marzeniem?

- Moim marzeniem było spędzić sylwestra w Paryżu i udało mi się to. W sylwestra 2002/2003 uczestniczyłem z młodzieżą z mojej obecnej parafii w Spotkaniu w Duchu Taize. Kolejnym moim marzeniem było odprawić Mszę Świętą z arcybiskupem Paryża i udało mi się to zrealizować w czasie ostatnich wakacji. Marzę również o tym, aby znaleźć wreszcie czas na siłownię.

- Gdzie ksiądz lubi spędzać wakacje?

- Lubię wiele miejsc, ale najbardziej Kocham Francję i Paryż.

Jak widać, można być księdzem, mieć pod opieką Liturgiczną Służbę Ołtarza i wiele innych grup w parafii, a jednocześnie realizować marzenia i plany. Bycie księdzem, jak niektórzy sądzą, nie ogranicza wolności człowieka, wręcz pomaga rozszerzać zainteresowania i horyzonty. Miedzy innymi przez miłość do Boga.

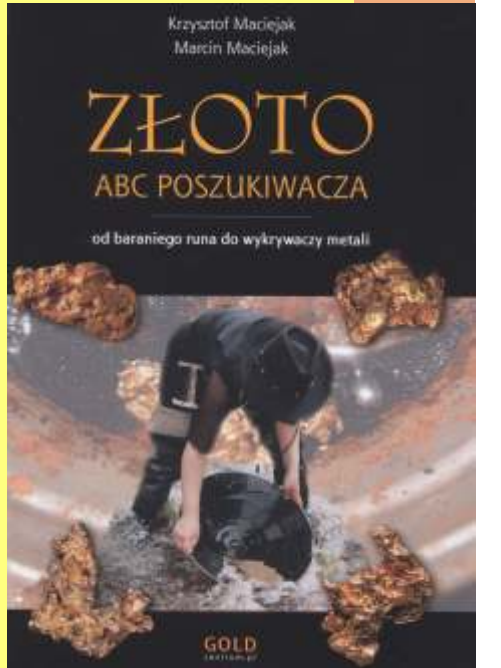
Rozmawiali Tomasz Górka i Miroslaw Jadach

Warto przeczytać

Szukajcie złota a znajdziecie!

Na rozpoczęty już właściwie sezon poszukiwania złota z pewnością okaże się przydatna książka Krzysztofa i Marcina Maciejaków pt. *Złoto. ABC poszukiwacza - od baraniego runa do wykrywaczy metali*, która niedawno opuściła drukarnię. Autorzy polecają ją jako jedyny tego rodzaju poradnik w Polsce. W bogato ilustrowanej publikacji (zwracając uwagę stare ryciny oraz widokówki) zawarto niezbędne informacje o miskach, płuczniach, wykrywaczach metali oraz innych przedmiotach służących szukaniu i plukaniu złota, technikach pozyskiwania kruszcu, terenach, które warto odwiedzić. W Krainę Złota przenoszą czytelnika również przykazania poszukiwacza złota. Fragment jednego z nich brzmi: *jeśli masz żonę i dzieciątka, które bardziej niż życie kochasz, mieć ich zawsze na myśli będziesz i do powrotu utęsknisz...a wtenczas z ukochanego domu twego na powitanie ze łzami szczęścia wybiegną i z wdzięcznością razem przed Ojcem Niebieskim kłękniecie, by za bezpieczną drogę twoją podziękować.*

Książka dostępna jest m.in. w księgarniach, Centrum Informacji Turystycznej, stoisku pod wieżą widokową kościoła Mariackiego oraz TMZZ. (gar)



Irlandia moja zielona

J.: Pracuję przy produkcji leków w firmie farmaceutycznej. Nie jest to typowa praca przy taśmie produkcyjnej. Produkcja leków wiąże się z ścisłymi procedurami i wieloma dokumentami do wypełnienia codziennie. Mieszkam w Blanchardstown - północna dzielnica Dublina - w typowym irlandzkim domu - piętrowy bliźniak w szeregowej zabudowie.

B.J.: Jak wygląda twój zwykły dzień, czy masz czas na jakieś rozrywki po pracy?

J.: Po ośmiogodzinnym dniu pracy zostaje nieco czasu na rozrywkę, przeznaczam go głównie na zakupy oraz Internet. Zależnie od pogody w weekendy wspólnie z Patrycją korzystamy z atrakcji Dublina lub urządzamy wycieczki za miasto.

B.J.: Mimo odległości widać, jak bardzo jesteś związany z naszym miastem, ostatnio aktywnie włączyłeś się w obronę Wilecz Góry.

J.: Jest taka siła przyciągania do rodzinnego gniazda, którą to można odczuć dopiero po jego opuszczeniu. Teraz mi łatwo zrozumieć słowa naszego wieszca... "Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto Cię stracił" :) Myślę, że kiedyś, my - emigranci wrócimy do naszego miasta i chcielibyśmy zobaczyć naszą perełkę, jaką jest Wilecza Góra. Mieszkając w totalnie zurbanizowanym Dublinie, mam czasem dość cywilizacji. Dreszcz mi po plecach przechodzi, gdy sobie pomyślę, że powoli dążymy do tego, co się stało tutaj z przyrodą.

B.J.: Zabrates ze sobą jakiś kawałek ziemi zlotoryjskiej?

J.: Tak, fiołki z kaczawskim złotem oraz agaty z Nowego Kościola i Lubiechowej, które stoją na moim nocnym stoliku

B.J.: Czy porównywałeś Złotoryję i swoje nowe miejsce zamieszkania?

J.: Porównywałem. Werdykt nie zapadł i raczej chyba nie zapadne. Cały czas stoję przed wyborem. Mogę przytoczyć argumenty przemawiające za pozostaniem w Złotoryi oraz te skłaniające do emigracji:

Złotoryja: Przyroda, powolne tempo życia, znajomi, przyjaciele, rodzina, pogoda (latem, zima zimą), sentyment, znajomość okolicy, każdego zakątką...

Dublin: pieniądze, mniej problemów dnia codziennego, brak trosk o finanse, nowe otoczenie czekające, aby je poznać, ma się wrażenie, że świat stoi otworem, możliwość posiadania przyjaciół z różnych zakątków globu, a więc wielokulturowość, tolerancja, łatwość w załatwianiu spraw urzędowych itp

B.J.: Często wracasz w rodzinne strony? Czy tylko na święta, jak większość tych, co wyjechali?

J.: Właściwie to na święta ani razu nie byliśmy z powodu wysokich cen biletów w tym okresie, ale w ciągu 1,5 roku byliśmy już 4 razy w Polsce. Najkrótsza wizyta to jeden weekend, bowiem bilety w dwie strony kosztowały 50E, czyli mniej niż dniówka. W tym wypadku nie chodzi o pieniądze, a wolny od pracy czas, bo nie zawsze można przewidzieć, czy dostanie się dni wolne na wizytę w rodzinnym kraju.

B.J.: Złotoryja to małe miasto, spotkałeś na emigracji innych naszych przedstawicieli?

J.: Przypadkiem spotkałem około dziesięciu osób, z kilkoma zamieniłem kilka zdań i wymieniliśmy się

kontaktami, a kilka zginęło w tłumie w pośpiechu. Spotkałem też kolegę z Proboszczowa.

B.J.: Ucieszyłeś się na wieść o Euro 2012 w Polsce i Ukrainie?

J.: Jako szansa na rozwój naszego kraju, na finansowy zastrzyk, przyciągnięcie uwagi świata w naszą stronę, ale też wyzwanie dla Polaków. Drogi same się nie zbudują, nie ma co liczyć, że zachód Europy przywiezie nam asfalt i pracowników, musimy dać wiele od siebie.

B.J.: Myślisz, że emigranci tłumnie odpowiedzą na apel polskich władz, abyście wracali do Polski budować Euro 2012?

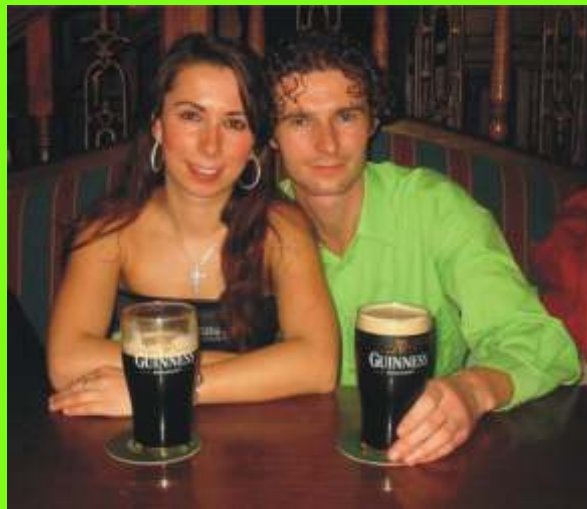
J.: Myślę, że naszym politykom należy pokazać, jak tu wygląda życie przeciętnego emigranta. Jeśli uda im się zapewnić podobny standard życia, jakie ma tu zwykły obywatel za "minimalną krajową", to wielu wróci. Na pewno nie wszyscy, no bo jak pogodzić tęsknotę do kraju, gdy ktoś ma żonę, np. Filipinkę, Chinkę, Słowaczkę, dziecko od początku uczęszcza tu do szkoły, ma przyjaciół, swoje życie...

B.J.: Krąży powiedzenie, że na emigracji Polak dla Polaka wilkiem.

J.: Tak, to bez wątpienia prawda. Widać to szczególnie w pracy, gdy Polak jest przelożonym, to gnębi swoich rodaków niżej położonych w hierarchii firmy. Tacy ludzie skażeni są zwyczajami nabytymi w rodzinnym kraju: praca na pokaz, zwiększanie norm, groźby np: "jeśli nie będziesz robił szybciej, to cię zwolnię", zaniżanie stawek, niewypłacanie nadgodzin. Na szczęście są odpowiednie urzędy, które bardzo szybko interweniuja w sprawie "Polaczków". Generalnie należy unikać imigrantów jako swoich przelożonych. Na szczęście nie wszyscy rodacy są wrogo do siebie nastawieni - mamy grupę znajomych, z którymi się spotykamy, pracujemy, chodzimy na imprezy.

B.J.: Powoli Polacy stają się mniejszością narodową w Irlandii. Jak na naszych rodaków reagują Irlandczycy?

J.: Naród irlandzki jest w tej kwestii podzielony, a linia podziału rozgranicza warstwy społeczne. Klasa średnia i wyższa zdaje sobie sprawę z tego, że rozwój ekonomiczny tego kraju zależy od pracujących imigrantów. Cenią sobie szczególnie Polaków za ich pracowitość i rzetelność. Z kolei klasa niższa oraz margines społeczny widzi w nas potencjalnych wrogów, ponieważ jakoby zabieramy im miejsca pracy. Jednak oni sami pozostają na zasilku, gdyż nie chcą pracować za stawki, które my zarabiamy. Wołą pozostać bezdomnymi, alkoholikami, narkomanami. Powstaje dziwna sytuacja, gdyż Polacy zakładają firmy w Irlandii, kupując nieruchomości, żyją na poziomie, a wielu



Irlandczyków nie potrafi odbić się od dna, żyje z zasiłku od państwa (który de facto pokrywa podstawowe potrzeby, jak rachunki za mieszkanie, jedzenie, ubranie).

B.J.: Jak z oddali wygląda Polska w oczach Irlandczyków i waszych?

J.: Wśród Irlandczyków, a także innych narodowości, Polska jest spostrzegana jako kraj wybitnie konserwatywny. Wśród Polonii, według moich spostrzeżeń, większość jest przerażona tym, co się dzieje w kraju, wielu nosi w sercu słowa Prezydenta jakoby jesteśmy nieudacznikami, mówiąc: „Wielka Brytania jest punktem docelowym dla tysięcy Polaków, którzy skończyli tu jako bezrobotni i bezdomni” itp., poza tym, Polska często jawi się jako kraj nietolerancji.

B.J.: W Złotoryi aktywnie działales w "Betonecie", czy na wyspie też masz czas na wędrowki, przygody i badanie tajemnic okolic?

J.: Czasu na pewno mniej, ale głównie chodzi o to, że żyjąc w Dublinie, nie mam możliwości zwiedzania jaskiń, poniemieckich budynków. Teren jest zurbanizowany, a wszelkie góry, parki, zadeptane przez turystów. Tu po prostu nie ma terenów dzikich, nieodkrytych. Poza tym, to nie Pogórze Kaczawskie - gdzie się urodziłem i wychowałem. Miejsca, do których mam sentyment.

B.J.: Jednym ze skutków twojego wyjazdu był rozpad "Betoneku", nie żal ci waszego dzieła?

J.: Nie sądzę, żeby w sprawie Betonetu zapadł już wyrok. Podczas każdej wizyty w Polsce staram się poświęcić czas na poznawanie okolic Złotoryi. Oczywiście nasza aktywność jest mniejsza, bo każdy w taki czy inny sposób ułożył sobie życie, ale pasja nie przemija tak po prostu, więc choć rzadko, to jednak nadal organizujemy wspólne wypadki.

B.J.: Dalej utrzymujesz kontakt z ludźmi "Betoneku"?

J.: Ciężko odciąć się od ludzi, z którymi przeżyło się połowę życia. Poza tym, dzisiejsza technika nam sprzyja. Istnieje przecież Internet, dzięki któremu możemy na żywo z użyciem kamer, przesyłać emailem fotografie odwiedzanych miejsc. Ceny rozmów z telefonu komórkowego na telefony w

Polsce są bardzo niskie: 9c/min na stacjonarny, 20c/min na komórke, co daje możliwość zdwonienia w każdej wolnej chwili.

B.J.: Internet niweluje odległość, czy jest on dla Ciebie głównym źródłem informacji i kontaktu z rodzinnymi stronami?

J.: Jak już wcześniej napisałem, kontakt z Polską utrzymuję głównie za pośrednictwem Internetu. Nie wyobrażam sobie życia na emigracji bez tego medium. Jednak Internet nigdy nie zastąpi zapachu grzybów w czaplach, orzeźwiającego chłodu Kaczawy czy przyjemnego zmęczenia długą wędrówką po kaczawskich wzgórzach.

B.J.: Które miejsce w Złotoryi najszybciej



wspominasz?

J.: Okolice Zalewu Złotoryjskiego, rzeki Kaczawy, staw Zielone Oczko. To są miejsca, w których spędziłem swoje dzieciństwo, pierwsze kontakty z przyrodą, pierwsze złowione ryby.

B.J.: Skoro tak u nas pięknie, to może udało ci się namówić kogoś do odwiedzenia ziemi zlotoryjskiej?

J.: Prawie namówiłem zaprzyjźnionego Irlandczyka na wizytę w Złotoryi, jednak obecnie urwał mi się z nim kontakt. Myślę jednak, że można by zainteresować wyspiarzy atrakcjami naszego miasta i okolicy. Irlandczycy to bardzo mobilny naród. Stać ich na podróże, nawet weekendowe wypadki do Polski. Coraz więcej ich spotykam w samolocie lecącym do lub z Wrocławia, okupują też krakowski rynek, kupując nieruchomości w Polsce.

Kamienie trzeba kochać

ciąg dalszy ze strony 16

kamieniem szlifierskim. Była to bardzo żmudna robota i trwała bardzo długo. Mam na swoim koncie zrobione trzy oczka do pierścionków, a nawet spinki do mankietów! Teraz mam już własnej konstrukcji elektryczną maszynę do obróbki kamienia, obrabiam na niej wisiorzy z agatów, ale jest dość prymitywna. Gdy chcę porządnie oszlifować jakiś szczególnie piękny okaz, to oddaję go do zakładu specjalistycznego.

A.M.: Czy teraz jeszcze zbieracie minerały?

Wacław: W tym roku w marcu byliśmy w Lubiechowej. Pogoda była straszna, lalo i wiało! Ale znalazłem dziesięć kamieni. Dałem je do obróbki. Niech wzbogacają kolekcję.

A.M.: Widzę na waszych meblach mnóstwo pucharów z konkursów.

Wacław: O, to jest puchar za I miejsce na giełdzie minerałów w Lwówku Śląskim. Dostałem do tego też dwie piły diamentowe do cięcia kamienia.

Zofia: Brałiśmy udział w bardzo wielu różnych konkursach, giełdach minerałów, spotkaniach. Chyba byliśmy na wszystkich giełdach minerałów na terenie Dolnego Śląska - To tylko niektóre z nich - Zofia prezentuje wybrane dyplomy: - To za I miejsce na Międzynarodowej Giełdzie Minerałów w Głogowie 1994, II miejsce w kategorii Wystawa tematyczna na II Jaworskiej Wystawie Minerałów 2001r., II miejsce za Marcinowe Spotkania z Minerałami 2005.

A.M.: Widzę, że jest ich bardzo dużo!

Zofia: Tak, ale nie możemy ich wyeksponować, bo nie ma miejsca, a szkoda.

A.M.: Wiem, że też jesteście oboje plukaczami złota?

Tak, oprócz tego, że jesteśmy zbieraczami i kolekcjonerami minerałów, też plucemy złoto. Oboje z Wacławem jesteśmy członkami Bractwa Kopaczy Złota. Bierzemy udział w każdej akcji naszego Bractwa dotyczącej plukania złota nie tylko w Polsce, ale też w innych krajach. Dzięki temu zwiedziliśmy kawałek Europy.

Chciałbym w przyszłości mieć swój udział w wypromowaniu naszego regionu na wypach. Potrzeba od tego materiałów promocyjnych. Czasem sprawdzam, czy są organizowane targi turystyczne w Dublinie. Myślę, że warto byłoby stworzyć grupę reprezentującą nasze miasto.

B.J.: Ambasadorzy Złotoryi?

J.: Zapaleńcy, lokalni patrioci, ale też osoby kompetentne, które potrafią nawiązać kontakty turystyczne, handlowe z wyspiarzami.

B.J.: Co doradzilibyś rodakom szykującym się do wyjazdu?

J.: Nauczyć się dobrze angielskiego, zaopatrzyć się w cierpliwość przy szukaniu pracy, być tolerancyjnym dla innych narodowości, nie dusić się w "narodowym sosie", ale też nie zapominać, skąd się pochodzi.

B.J.: Nie dusić się w narodowym sosie?

J.: Polacy często nie przyjmują do wiadomości, że nie są już w Polsce, jedzą polskie jedzenie z polskich sklepów, na ulicy tylko po polsku rozmawiają, odcinają się od innych, nie integrują się, nie mówią, że wszyscy, ale jest ich dużo. Lepiej nie brać z nich przykładu.

B.J.: Chcesz się zasymlować z Irlandczykami?

J.: Nie do końca, nie chodzi tu o Irlandczyków, nie tylko oni i Polacy tu są. Chodzi raczej o tolerancję, zrozumienie innych i ciekawość, np.: odnośnie kultury, kuchni, potraw z różnych regionów świata. Wiele przyjechało tutaj i nie potrafią żyć bez bigosu i pierogów, podczas gdy czasem nawet taniej można kupić potrawy kuchni chińskiej, indyjskiej itp. Nie mówię o jedzeniu irlandzkiego śniadania - bo nie wszystkim musi smakować boczek, kiełbaska, fasolka po bretońsku, kaszanka, ziemniaki i jajko sadzone na jednym talerzu.

B.J.: Zamierzacie wrócić?

J.: Oczywiście, zamierzamy. Na emigracji staramy się "przeżimować" trudny okres. Jesteśmy pewni, że w naszym kraju standard życia się polepszy. Wtedy wrócimy. Myślę, że za 5 lat, ale kto wie... różnie w życiu bywa, może wrócimy o wiele wcześniej, a może po prostu pojedziemy do innego kraju. Z ciekawości.

B.J.: Dziękuję za rozmowę i liczę, że niedługo zobaczymy się w Złotoryi.

Bartosz Jeziorski
Zdjęcia: Jacek "Jackus" Koziel



W tym roku, w maju, na Mistrzostwach w Plukaniu Złota w Złotoryi będziemy wystawiać nasze zbiory, jak to robimy rokrocznie. Zapraszamy serdecznie siebie i wszystkich złotoryjan do naszego stoiska.

A.M.: Dziękuję bardzo, przyjde na pewno. Od dzisiaj będę

inaczej patrzeć na agaty i inne kamienie.

Teksty i zdjęcia: Agnieszka Młynczak

Łąkowa 19



została już szara rzeczywistość. Zaczęło się tzw. zasiedlanie budynku. We wrześniu 2002 roku wszystkie mieszkania na parterze zostały zasiedlone. Na remont czekało jeszcze piętro, gdyż w budżecie miasta zabrakło pieniędzy na ukończenie remontu całego budynku.

- *Co to znaczy mieszkanie socjalne?* - pytam Damiana Klikkiego, zastępcę prezesa Rejonowego Przedsiębiorstwa Komunalnego, które w imieniu Burmistrza sprawuje zarząd nad budynkami stanowiącymi własność Gminy Miejskiej Złotoryja.

- Mieszkanie socjalne jest to lokal mieszkalny nadający się do zamieszkania, lecz o obniżonym standardzie - wyjaśnia Damian Klikki. - W budynku przy Łąkowej 19 jest dziewiętnaście takich lokali. Składają się na niego dwa lub trzy pokoje, wspólna kuchnia, wspólna łazienka. Lokale są różnej wielkości, a liczba osób zamieszkująca go uzależniona jest od metrażu, bo na jedną osobę przypada minimum pięć metrów kwadratowych. Mieszkańcami są zwykle osoby

Zdarzają się, naturalnie, dzieci, które nie chcą być odprowadzane przez nauczyciela, zwłaszcza te starsze. W takim przypadku wymagamy od rodzica oświadczenia, że dziecko nie będzie jeździć autobusem, bo na przykład chce wracać ze szkoły piechotą.

- *Jakie są te dzieci z Łąkowej? Czy różnią się od innych?*

- Przede wszystkim pochodzą z rodzin wielodzietnych, a co za tym idzie - niedopilnowane, nie odrabiają zadań domowych, często wagarują. Dzieci te częściej niż inne zostają na drugi rok w tej samej klasie.

- *Czy dlatego, że są mało zdolne?*

- Ależ nie! Są tylko zamiedbane. Większość z nich radzi sobie z nauką. Chętnie biorą udział w konkursach, gdzie występuje element rywalizacji. Ale już w konkursach wiedzy - bardzo rzadko. Są to normalne dzieci, tylko skrzywione przez los. Rodzice wielu z nich są bezrobotni, chociaż czasem pracują sezonowo. To rodzi u nich frustrację, która prowadzi do szukania ucieczki w alkoholu, a to już jest początek końca rodziny. Dzieci z ulicy Łąkowej - nie wszystkie, oczywiście - często trafiają do ośrodków wychowawczych, gdy ich rodzice tracą kontakt z rzeczywistością przez alkohol lub gdy sąd ogranicza im władzę rodzicielską. Z tymi rodzicami trudno się pracuje. Nie chcą współpracować i przychodzić do szkoły na rozmowę z pedagogiem.

- *Czy praca dydaktyczna i wychowawcza szkoły byłaby łatwiejsza, gdyby takie rodziny nie były zgromadzone w jednym miejscu?*

- Powiem tak: przed wybudowaniem budynku socjalnego nie było problemu dzieci z Łąkowej. Można przypuszczać, że takie nagromadzenie złych wzorców wpływa negatywnie na cały proces wychowawczy. Gdy w otoczeniu znajdują się rodziny podobne do patologicznej rodziny danego dziecka, to skąd ono może wiedzieć, że można inaczej żyć? Gdyby ktoś im powiedział, że można się uczyć i żyć inaczej, na pewno wyszłyby na ludzi. Ale, niestety, w tym wypadku nauczyciel nie jest dla nich autorytetem.

- *Czy można zaryzykować twierdzenie, że przez takie nagromadzenie w jednym miejscu trudnych rodzin tworzą się słuszy?*

- No cóż, myślę, że nasze władze samorządowe wiedziały co robią, podejmując decyzję o lokalizacji tego budynku socjalnego.

- *Unika Pani odpowiedzi na pytanie.*

Na twarzy pani dyrektor ukazują się tajemniczy uśmiech.

- *A jak sobie te rodziny radzą materialnie, skoro tak wielu rodziców nie pracuje?*

- Wszystkie dzieci z ulicy Łąkowej jedzą w szkole obiady o godzinie trzynastej. Pośliki są finansowane przez opiekę społeczną. Część z tych dzieci

otrzymuje ponadto stypendia socjalne. Są one przyznawane raz w roku i wypłacane jednorazowo w kwotach od 44 zł do 118 złotych w zależności od dochodów rodziny i można je przeznaczyć wyłącznie na wydatki związane z nauką, tzn. na pomoce szkolne, podręczniki, kursy językowe. itp. Rodzice, chcąc otrzymać takie stypendium, muszą najpierw za własne pieniądze zrobić zakupy, a zwrot kosztów otrzymują dopiero, gdy przedstawiają rachunki. Muszę stwierdzić, że rodzice robią coraz rozsądniejsze zakupy.

Po tej podbudowie teoretycznej pozostaje nam

jedynie udać się na *Tajwan* i osobiście porozmawiać z tamtejszymi mieszkańcami.

*

Na wyprawę na *Tajwan* jedziemy trzyosobową grupą: pisząca te słowa, Iwona Pawłowska i Naczelną. Po skręceniu z ulicy Chojnowskiej wjeżdżamy jakby w inny świat. Ni to wieś, ni to pegeer, ni to przedmieście. Nie wiadomo co. Jakieś zabudowania, jakieś ogródki, jakby pola uprawne po bokach drogi. Żadnego sklepu, kiosku spożywczego chociażby. Droga, niegdys duma pegeeru, w tragicznym stanie. Cała w dziurach, które nieudolnie są zasypywane raz do roku jakąś substancją przypominającą materiał budowlany. Po kilku tygodniach dziury się pogłębiają, pogłębia się też irytacja i frustracja mieszkańców, którzy mają poczucie wyrzucenia poza nawias i zapomnienia przez władze.

Cała ta okolica była kiedyś zdominowana przez socjalistyczne państwowe gospodarstwo rolne. Ludzie tu mieszkający w większości utrzymywali się z pracy w PGR. Gdy po zmianie ustroju twory te padły, znikło

Nieformalna nazwa okolic ul. Łąkowej - *Tajwan* wzięła się prawdopodobnie od skośnookich przybyszów z Azji południowo-wschodniej, głównie z *Wietnamu*. W latach pięćdziesiątych sprowadzano stamtąd robotników do pracy w pegeerze. Mieszkali w kwaterach właśnie na tym terenie.

trzeba je było szybko wymieniać na inne, w pokojach postawiono piece kaflowe. Każde mieszkanie otrzymało łazienkę. Piwnic nie było, więc zapewniono mieszkańcom komórki, w których można było trzymać opał na zimę.

Samochód Naczelnej wzbudza spore zainteresowanie nielicznych ludzi, którzy widząc nas, nie wiedząc czemu, szybko się oddalają. Dojeżdżamy do okazalego budynku, który pyszni się nową elewacją.

- Pani, w tamtym roku ościplali nasz budynek, bo takie szpary były przy oknach (jak na ironię - szczelnych plastikach), że w kuchni u mnie zimą wisiły sople lodu - wspomina Krystyna, która nie chce ujawnić swojego nazwiska. - Wiatr hulął po mieszkaniu.

- A w moim mieszkaniu - mówi Paweł Bogusiewicz - między płytami regipsowymi wewnątrz mieszkania, a murami zewnętrznyymi biegają myszy, bo nie było tam niezbędnego wypełnienia. Pewnego razu przy szparze ustawiłem pułapkę na myszy, to tylko jednej nocy złapało się ich cztery. A tuście, odkarmione szczyry laziły bez strachu po zewnętrznych parapetach. A tu - Paweł odsuwa krzesło od ściany - idzie od podłogi wilgoć.

Obie z Iwoną oglądamy plamę pleśni tuż przy podłodze na dobre pół metra średnicy.

- Pleśń była też pod oknem. Na całą szerokość pokoju, - ciągnie lokator - więc zakryłem to panelami ze styropianu. Zdaję sobie sprawę, że pleśń jest tam nadal, ale co miałem robić? Interwencję w RPK nie pomagały.

Paweł Bogusiewicz zajmuje mieszkanie socjalne wraz z żoną i dwójką dzieci. Kiedyś mieszkali w dawnym hotelu przy Sikorskiego, ale po remoncie tego obiektu kazano mu zapłacić siedem tysięcy złotych kaucji dlatego, że ma dzieci, które mogą zniszczyć, jak tłumaczone, nowy wystrój. Ponieważ Paweł nie miał takiej kwoty, zmuszony był przyjąć zaofiarowane mieszkanie socjalne bez potrzeby wpłacania kaucji.

Lokal socjalny państwa Bogusiewiczów składa się z ogromnego pokoju (około trzydziestu metrów powierzchni) i równie dużej kuchni - około dwudziestu metrów kwadratowych. Tu wielkie pomieszczenie służy rodzinie za wspólną sypialnię, salon, miejsce do nauki dla dzieci. W ogromnej kuchni w rogu postawiono biurko z komputerem, bo lokator zarabia na życie, wykorzystując możliwości internetu.

- Próbowałem to mieszkanie jakoś ulepszyć - opowiada. - W pokoju można by było postawić ściankę i wygospodarować dwa całkiem spore pokoje. Byłoby wygodniej. Nie wiadomo dlaczego zaprojektowano ten lokal w taki sposób. To jest bez sensu! Niestety, nie pozwolono mi niczego zmieniać w mieszkaniu - skarży się rozczarowany Paweł. - A za te kafelki nad kuchnią - pokazuje ładną glazurę ułożoną prawidłowo nad kuchenką i zlewozmywakiem - nieźle mi się oberwało! Powiedzieli mi, że jak mi się nie podoba, to mogę się stąd wynosić.

Na pierwszych schodkach wejściowych do budynku siedzi młoda kobieta z trzyletnią córeczką Małgorzatą na kolanach, która przyciska do piersi otrzymany od Naczelnej egzemplarz *Echa Złotoryi*. Do siedzących dołącza inny lokator - Bogusław Skórzyński. Naczelną znikła nam z oczu ze swoim aparatem fotograficznym. Zostajemy we dwie z Iwoną i podejmujemy rozmowę.

- W naszej klatce nie ma socjału, są tylko mieszkania komunalne - mówi Krystyna z wyczuwalną satysfakcją w głosie. - Ja mam dwa pokoje z kuchnią, łazienką i przedpokojem - wlicza jednym tchem. To duże mieszkanie o powierzchni około 80 metrów. Ale mam pięcioro dzieci, w mniejszym byłoby nam ciasno.

Obok schodków wejściowych poniewiera się zdezelowany, stary fotel, duże podwórko jest dosłownie zaśłane śmieciami, a pod naszymi nogami widnieje ziemia zapluta pestkami słonecznika. Nieco dalej - nowy, estetyczny ogrodzony plac zabaw dla dzieci z porządnymi huśtawkami, piaskownicą i innymi urządzeniami do zabawy. Po podwórku płacze się kilka wylęniałych, bezpańskich - jak twierdzą mieszkańcy - psów. Za plecami naszych rozmówców wejściowe drzwi z wyrwaną kłanką i ogromną dziurą w środku. Fragment korytarza, który widzimy przez tę dziurę,

pokazuje straszliwie brudne ściany tak popisane i podrapane, że nie można rozpoznać koloru lamperii. Nad naszymi głowami krzywo zwisa wyrwana rytna. Nie możemy uwierzyć, że ten budynek ma dopiero pięć lat!

- Te dziury w drzwiach i wyrwane kłamki to robota pijaków - twierdzi Krystyna. Oni jak popiją na koniec tygodnia, to biegają z nożami i tłuką się między sobą, aż trzeba wołać policję żeby ich uspokoiła. A te śmieci? To dzieci śmieczą i nic nie można na to poradzić - wrusza obojętnie ramionami.

- Ja przez tych pijaków zostałem dźgnięty nożem pod żebro - Paweł odsłania tors i pokazuje sześciocentymetrową bliznę pod sercem. - Za co? Nie spодobało im się to, że miałem otwarte drzwi i muzyka grała. Tu są bardzo częste bójkі, gdy sobie popijają. Kobiety też piją i biorą w nich udział.

Odnosimy wrażenie, że minie bardzo dużo czasu, zanim ci ludzie w jakiś sposób zżyją się ze sobą i zaczną traktować najbliższe otoczenie jak część swojego domu.

- Mieszkam tu od czterech lat, zajmuję mieszkanie komunalne. Właściwie to jest mieszkanie mojej teściowej. Jego powierzchnia to około 170 metrów mówi o sobie Bogusław Skórzyński.

Patrzmy na siebie z Iwoną z niedowierzaniem. Przecież nawet nie wszystkie domy jednorodzinne mają tak dużą powierzchnię. Próbujemy zrozumieć logikę budowania takich mieszkań, ale nie udaje nam się to.

- A ten plac zabaw to moja zasługa - chwali się Bogusław. - Ileż to razy interweniowałem w Urzędzie Miejskim, aby najpierw postawili urządzenia do zabawy, a potem je ogrodzili.

Przyznajemy, że nawet w mieście niewiele podwojek ma takie place. Mieszkańcy z widoczną dumą patrzą na plac zabaw, który wygląda jak perła na ogromnym zaśmieconym podwórku.

Do naszej grupki dołącza Władysława, która reprezentuje zupełnie inną grupę ludzi. Ludzi mieszkających tu od lat, żyjących z tym miejscem na dobre i na złe, gdzie minęło im dzieciństwo i młodość, gdzie podjęli swoją pierwszą pracę.

- Ja tu mieszkam 40 lat, od dziecka - zaczyna snuć opowieść. - Gdy wyszłam za mąż, na krótko wyjechałam do Głogowa. Ale wróciłam, bo moje miejsce jest tutaj. Tu wszędzie był pegeer, który zatrudniał nas wszystkich. W tym budynku codziennie pracowałam - pokazuje na budynek socjalny. - W nim była obora i chlew. Ja karmiłam świnie i doilałam krowy. W części tego budynku było też kilka mieszkań. Kiedyś było tu inaczej, proszę pani. Tej drogi asfaltowej nie było, a do zabudowań prowadziła polna droga, o tu, pod lasem. Moich siedmioro dzieci chodziło do szkoły piechotą przez całe osiem lat. A teraz mają drogę, dzieci wożą autobusem do szkoły i to za darmo! Nawet sklep przyjeżdża.

Tu chyba zdziwienie odmalowało się na naszych twarzach, bo Władysława wyjaśnia dalej.

- A tak, codziennie rano przyjeżdża taki busik, chyba pana Barana, i można w nim kupić chleb, bułki, nabiął. Ot, na śniadanie. Tak, teraz jest znacznie lepiej - mówi z przekonaniem Władysława. - A ja mieszkam w tym budynku - kobieta z dumą posiadacza pokazuje stojący obok stary budynek z nowo wstawionymi oknami. - Wykupiłam go od pegeeru i teraz jestem jego właścicielką. Mieszkam tu z rodziną.

Z przyjemnością słuchamy opowieści Władysławy, ale pora wracać.

Oddalamy się od grupki mieszkańców *Tajwanu*, a mała Małgorzata spogląda za nami wielkimi błękitnymi oczami z dziecięcą powagą swoich trzech lat. Zdamy sobie sprawę, że Małgorzata i inne dzieci reprezentują już drugie pokolenie tego budynku. Może za parę lat pokolenie to uotóżami się z tym miejscem i uzna je za swój dom. Dom, do którego zawsze chce się wracać i o który chce się dbać, aby był coraz piękniejszy, aby po wielu latach móc powiedzieć jak Władysława: „tu jest moje miejsce”. Życzymy im tego z całego serca.

Agnieszka Młyńczak
Zdjęcia: Robert Pawłowski

Powrót do przeszłości

Piękne szaty, suto zastawiane stoły pieczoną dziczyzną oraz pitnym miodem, honorowe walki o rękę księżniczki. Wydawać by się mogło, że te czasy minęły bezpowrotnie, lecz są i tacy, którzy dbają o to, byśmy nie zapomnieli o naszej przeszłości i korzeniach.

Mój rozmówca prosił, by przedstawić go imieniem nadanym przez przywódcę jego drużyny, imieniem, które według słowiańskiej tradycji wynika z daty jego urodzin.

Wilkomir jest to staropolskie imię męskie, złożone z członów wilko, oznaczające wilka oraz mir, czyli pokój, dobro.

Paula Węlyczko: Jak długo trwa twoja przygoda z rycerstwem?

Wilkomir: Wszystko zaczęło się tak około dwóch lat temu i trwa do dzisiaj, choć nie zawsze mam czas, by uczestniczyć w życiu codziennym drużyny, jednak staram się, jak mogę.

P.W.: Jak doszło do tego, że znalazłeś się w bractwie?



Pan Wiesław Surówka ze swoim rumakiem wzbudzali zachwyt u plic pięknej

W.: Koleżanka zaproponowała mi przystąpienie do drużyny po tym, jak mnie zafascynowały opowiadania o życiu Słowian. Skontaktowałem się z kim trzeba, odbyłem kilka treningów i wciągnęło mnie na dobre.

P.W.: Na czym polegały treningi, w których uczestniczyłeś?

W.: Takie treningi polegają na wyćwiczeniu ruchów mieczem i kroków wykonywanych podczas walki.

P.W.: Z ilu osób składa się twoja grupa? Jacy ludzie się w niej znajdują?

W.: Oficjalnie nasza drużyna liczy 13 osób. Ci, których udało mi się poznać, mogę powiedzieć, że są honorowi, godni zaufania i można ich uznać za prawdziwych patriotów.

P.W.: W jakich kategoriach rozumiesz przejawiany przez was patriotyzm?

W.: Dla mnie jest to już samo poznanie historii ziem polskich. Odtwarzanie życia średniowiecznego, a także walka o wolność swego kraju jest również naszym sposobem wyrażania patriotyzmu.

P.W.: Byłeś uczestnikiem zjazdów rycerskich?

W.: Niestety, nie udało mi się jeszcze wziąć udziału w żadnym festiwalu słowiańskim i walce z prawdziwego zdarzenia. Jednak myślę, że w tym roku mi się to uda.

P.W.: Dlaczego wcześniej nie brałeś udziału w turniejach?

W.: Ponieważ swoją przygodę z drużyną zainicjowałem krótko przed rozpoczęciem sezonu. Nie posiadałem sprzętu ani potrzebnej wiedzy o walce i zachowaniu. Jednak w tym sezonie postaram się pokazać z jak najlepszej strony.

P.W.: W jaki sposób one przebiegają?

W.: Jak już wcześniej wspominałem, odtwarzamy życie codzienne Słowian i takie zjazdy nie polegają tylko na walce. Można na nich spotkać różne stoiska z wyrobami słowiańskimi wytwarzanymi w taki sposób, jak to czyniono przed wiekami.

P.W.: Walki rycerskie kojarzą się również z niebezpieczeństwem. Często zdarzają się kontuzje podczas turniejów?

W.: Oczywiście, że walka często kończy się kontuzjami, najczęściej to siniaki, otarcia i stłuczenia, ale zdarzają się również poważniejsze kontuzje, takie jak złamania i rany cięte kończące się zyciem.

P.W.: Po co w takim razie to ryzyko?

W.: Podczas walki wydziela się adrenalina, w danej chwili nie myśli się o ryzyku, które jest w kalkulowane w to, co robimy.

Kolejnym rozmówcą jest pan Zenon Bernacki. Kasztelan zamku w Grodźcu. Postaram się, aby przybliżył nam przebieg imprez średniowiecznych z punktu widzenia organizatora turniejów rycerskich.

Paula Węlyczko: Jak długo jest Pan kasztelanem na zamku w Grodźcu?

Zenon Bernacki: Pierwszego lipca będę obchodził 5. rocznicę sprawowania tego urzędu.

P.W.: Skąd wziął się pomysł, by zarządzać zamkiem?

Z.B.: Była to propozycja wójta gminy Mieczysława Słoniny. Uznał, że jestem odpowiednią osobą do sprawowania tej funkcji. Znał moje wcześniejsze dokonania. Moim zadaniem było ożywienie tego miejsca. Niestety, nie obeszło się bez kłopotów ze strony urzędników gminy. Miałem większe oczekiwania co do pomocy z ich strony.

P.W.: Czym zajmuje się kasztelan? Jaki jest zakres Pana obowiązków?

Z.B.: Kasztelan to inaczej właściciel zamku. Moim zadaniem jest pozyskiwanie środków na jego funkcjonowanie. Mogę powiedzieć, że zamek zarabia sam na siebie. Jest to możliwe dzięki różnym imprezom dla firm, licznym turystom, dzierżawom, a także filmowcom. Zamek w Grodźcu często jest udostępniany producentom filmowym. Muszę jednak przyznać, że zamek jest odwiedzany w większości przez turystów z Europy, mniej zainteresowanych to Polacy.

P.W.: Czym jeszcze się Pan zajmuje?

Z.B.: Jestem radnym Powiatu Złotoryjskiego, a także należę do Towarzystwa Miłośników Czapli. Obecnie prowadzę akcję „Młodzież Czapli poznaje przeszłość przodków”. W Czaplach mamy tzw. „Starą szkołę”, staramy się ją ożywić, by nie były to tylko puste mury. Chciałbym, aby młodzież mogła spędzać w niej aktywnie czas.

P.W.: Jak wiele turniejów rycerskich ma Pan na swoim koncie jako organizator?

Z.B.: Turnieje organizujemy w porozumieniu z TPK z Grodźca, a także bractwami rycerskimi. Organizowałem Śląskie Turnieje Rycerskie, Turnieje Rycerskie o Srebrny Pierścień Kasztelana Zamku w Grodźcu. Zależy mi na pokazaniu tradycji, historii sprzed wieków naszej małej ojczyzny. Oprócz turniejów organizuję Biesiady Krakowskie. Wtedy zjeżdżają się do Grodźca biesiadnicy z Litwy, Czech. Podczas tej imprezy wspólnie przygotowujemy potrawy regionalne i nalewki. Chciałbym również ponownie zaprosić Pana Makłowicza, który ugotowałby potrawy w Leszczynie, Ostrzycy i u was w Złotoryi „pod Wilczakiem”.

P.W.: Wróćmy do walk rycerskich. Istnieje jakiś schemat tego typu imprez?

Z.B.: Tak. Najpierw odbywają się konkurencje z



Pan Kasztelan Zenon Bernacki

jednoręcznym mieczem, później półtoraręczny, następnie są szranki, bitwa o zamek, turniej strzelecki. Wieczorem odbywa się uczta w sali rycerskiej. Gdy odwiedzają nas urzędnicy: burmistrz, starosta czy radni, zabraniamy im biesiadowania w garniturach. Szykujemy dla gości specjalne stroje. Wtedy wszystko wygląda bardzo autentycznie. Ci, którzy biorą udział, starają się przez te kilka dni żyć jak w średniowieczu. Nie potrzebują łóżek, potrafią spać w piwnicach. Niezaprzeczalnie to wszystko wpływa na niesamowitą atmosferę.

P.W.: Dziękuję za rozmowę. Mam nadzieję, że wspaniałe lata zamku i sprawowanie przez Pana urzędu będą trwać jeszcze długi czas.

Z.B.: Dziękuję również.

**Rozmawiała: Paula Węlyczko
Zdjęcia: Robert Pawłowski**

Dla ciała i dla ducha



Panie z zespołu „Jarzębina” ze Skorzynic

Gołąbki z kaszy jęczmiennej (przepis jw.)

Tę potrawę przyrządza się podobnie jak tradycyjne gołąbki, jedyną różnicą jest farsz. Komponuje się go nie z ryżu, a z ugotowanej kaszy jęczmiennej. Do niej dodaje się usmażoną w kostkę na złoto słoninkę i cebulę. Smak farszu wzmacniają: duża ilość natki pietruszki i przyprawy. Jęczmiennych gołąbków nie miałam okazji spróbować, ale ufam, że są wyborne.

Brzozowy napój (przepis jw.)

Wczesną wiosną upuszcza się sok z brzozy. Ma on charakterystyczny smak, który nie każdemu odpowiada. Właściwe przyrządzenie i wzbogacenie tego trunku podnosi jego walory smakowe. Jednak trzeba do soku dodać ziarna jęczmienia i trochę cukru. Wszystko należy wlać do butelki i zakorkować. Następnie odstawić, by nabrało smaku i mocy. Po pewnym czasie otrzymujemy odżywczy (brzoza to drzewo życia) napój gazowany.

Ser z pokrzywami (przepis p. Bronisławy Majczak)

Autorka tego przepisu pochodzi z Podlasia. Potrawa przez nią przygotowana otrzymała główną nagrodę podczas konkursu kulinarnego zespołów ludowych.

Wykonanie tego specjału jest banalnie proste: należy utrzcze chrzan (jeśli ktoś nie wytrzyma tej próby, może kupić gotowy). Tak przygotowany chrzan trzeba połączyć z białym serem. Do tego należy pokroić garść pokrzyw (tu używamy rękawiczki) i dodając kwaśniej śmietany, połączyć wszystko. Ser stanowi wartościowy dodatek do pieczywa.

Bliny z maczanicą (przepis p. Teresy Nozdrzyn Plotnickiej i p. Janiny Junkiewicz)

Do sporządzenia blinów potrzebne są: szklanka mąki, szklanka mleka (zsiadłego i słodkiego), soda oczyszczona i jajko. Wszystko należy ze sobą połączyć tak, by stanowiło konsystencję trochę gęściejszą niż ciasto naleśnikowe i przypominało gęstą śmietanę. Następnie, tak przygotowane ciasto, nakłada się łyżką na rozgrzaną patelnię, posmarowaną słoninką i smaży z obu stron. Maczanica (czyli sos) może mieć różne odmiany. Podaję dwie: Wersja I: surowy boczek należy pokroić w kostkę, wrzucić do rondelka, dodać pokruszony liść laurowy i ziele angielskie. Wcześniej należy pokrojoną w kostkę słoninkę usmażyć na złoty kolor i podobnie cebulę (duże ilości). Tak przygotowaną słoninę i cebulę wrzucić do rondelka z boczkiem, zagotować i doprawić słodką, gęstą (30%) śmietaną. Wersja II: surowe żeberka i biała kiełbasa pokroić, ugotować w rondelku, do tego dodać przyrumienione na złoto cebulę i słoninkę. Wszystko zagaęścić mąką. W obu przypadkach nie należy zapomnieć o przyprawach (niezbędne są: liść laurowy i ziele angielskie oraz sól).

Bliny podaje się na ciepło i smaruje maczanicą.

Iwona Pawłowska



Rycerze bractwa z Chojnowa

Gdy kwitną kasztany

nie wyobrażam sobie, by zdawać na poziomie podstawowym” - mówi jedna z maturzystek złotoryjskiego liceum. Gorzej mieli ci, którzy nie przepadają za tym przedmiotem. Tak zwane „kalkulatory”, czyli uczniowie klas informatycznych mogli popisać się w dziedzinie matematyki, fizyki, zaś klasa chemiczno-biologiczna w biologii, chemii, a także geografii. Zdarzały się osoby, które, nie zważając na profil klasy, wybierały przedmioty odległe od zainteresowań, lecz zgodne z kierunkiem dalszego kształcenia.

Oprócz obowiązkowego języka polskiego oraz wybranego przedmiotu, uczniowie muszą zdawać język obcy. Najwięcej maturzystów złotoryjskiego liceum zdecydowało się na - dość popularny w całej Polsce - język angielski. „Z angielskim mam styczność od dzieciństwa, niemiecki to dla mnie czarna magia” - mówi nasz kolega. Jednak dla innych ten przedmiot to „łatwizna”, „proste jak barszcz” - kwitują maturzystka.

Nowa matura ma nieco odmienną formułę niż kilka lat temu. Dla uczniów najbardziej stresujące są egzaminy ustne. Zdawane są z języka polskiego oraz obcego. Na egzamin z polskiego składa się piętnastominutowa prezentacja z danego tematu. W czasie wypowiedzi uczeń musi pokazać się z jak najlepszej strony. Nie wystarczy tylko wyuczona na pamięć prezentacja, liczy się również nabyta przez trzy lata wiedza. Także z języka obcego nie jest łatwo. Uczniowie mniej ambitni przystępują do poziomu podstawowego, który składa się z rozmowy i opisu obrazka. Egzamin w postaci rozszerzonej ma nieco inną formułę. Absolwent ma do wylosowania temat na wypracowanie, które musi przedstawić komisji. Na przemyślenia ma około pięciu minut. „Gdy weszłam do sali, nie wiedziałam, jak mam stać, wszystko wyleciało mi z głowy. Okropność” - twierdzi Anula. Komisja składająca się z nauczycieli złotoryjskiego liceum oraz pedagogów z innych szkół musi mieć czasami anielską cierpliwość, gdy po raz kolejny wysłuchuje wypowiedzi na ten sam temat. Abiturienti, czekający za drzwiami na swoją kolej, nie mają lepiej. „Czekając, w pewnym momencie miałem ochotę stamtąd uciec” - mówi jeden z nich. Najczęściej uczniowie przychodzili na egzaminy w towarzystwie kogoś bliskiego: przyjaciółki, partnera. W taki sposób dodawali sobie otuchy i pocieszali w razie niepowodzenia. „W trudnych sytuacjach potrzebne jest wsparcie” - mówi chłopak maturzystki. Tuż po ostatnim zdającym zostają ogłoszone wyniki. Z bijącym sercem każdy oczekuje na najwyższą ilość punktów, niestety, nie wszyscy odchodzą z zadowolona miną. A potem „hurraa!!!” - słychać na ulicach miasta niektórych szczęśliwców wykrzykujących radośnie: „zdałem!!!”.

Czas nieubłagany płynie, a wraz z nim przyjdzie czas ogłoszenia wyników egzaminów pisemnych. Rezultaty zapewne będą różne, jednak ci, którym nie poszło za dobrze, mają szansę na poprawę za rok. Miejmy nadzieję, że takich będzie niewiele.

Aniela Pietruszczak i Anna Piiera

Wielu twierdzi, że matura to takie wydarzenie w życiu człowieka, o którym trudno zapomnieć, nawet wtedy, kiedy włos przyprószy siwizna i dorastają wnukowie. Nie wiem, dlaczego właśnie ten etap naszego życia dostarcza tylu wzruszeń. Może po prostu egzamin dojrzałości faktycznie oddziela bez troskę młodzież od tej całej reszty, którą zwie się dorosłością. Z perspektywy człowieka, który egzamin dojrzałości zdawał (i zdał) więcej niż kilka lat temu, mogę powiedzieć, że matura to jeden z sympatyczniejszych egzaminów, jakie zgotowało mi życie. Kiedy na początku maja kwitną kasztany, budzą się we mnie sentymentalne uczucia. Pewnie dlatego, że nie muszę, tak jak moi uczniowie, stawać przed dylematem: poziom podstawowy czy rozszerzony, matematyka jako dodatkowy czy wybrany przedmiot. Nie będę przeliczać punktów z rozszerzenia na podstawę czy odwrotnie i zastanawiać się, jaki egzamin uczelnia honoruje. No cóż, ja doświadczyłam uroku starej (jak niektórzy twierdzą, skompromitowanej i nieobiektywnej) matury. Gdy zdawałam egzamin dojrzałości, minister Giertych sam się sobie dopiero śnił i pilnie przyswajał historię czy język rosyjski w jakimś renomowanym liceum. W ówczesnym ministerstwie oświaty nikt nie myślał o tym, że nauczyciel nie jest godny zaufania, by egzaminować swoich uczniów i sprawdzać ich prace. Nikomu nie przychodziło do głowy, że wychowawca nie powinien przebywać w sali, gdy maturę zdaje jego klasa, a na egzamin trzeba przysłać obserwatora z zewnątrz, który skrupulatnie sprawdzi ostępy między stolikami. Swoją pracę maturalną podpisywałam imieniem i nazwiskiem, nie kodem czy peselem. Wokół siebie miałam życzliwych nauczycieli, którym zależało na maturalnym sukcesie swoich uczniów.

Niektórzy powiedzą: idealizuje wspomnienia. Pewnie też, ale nie ja jedna tak myślę o tym etapie życia. Na potwierdzenie przytoczę rozmowę, którą odbyłam ze swoją wychowawczynią i polonistką w złotoryjskim liceum Zenoną Choloniowską (II rocznik zdający maturę w złotoryjskim LO). To ona przekazała mi paleczkę w nauczycielskiej sztafecie pokoleń.

Iwona Pawłowska: Jak Pani Profesor wspomina swoją maturę?

Zenona Choloniowska: Maturę zdawałam w 1956 roku, pisemną chyba 21 i 22 maja. Najpierw język polski, potem matematykę. Jeśli chodzi o język polski, to wiem, że temat wypracowania dotyczył twórczości Juliusza Słowackiego. Z matematyki jednak nie pamiętam, co odpisywałam...

I.P.: Powiedziała Pani „odpisywałam”?

Z.Ch.: Tak, dobrze słyszysz. Odpisywałam. I naprawdę nie wiem, co. Siedziałam na egzaminie w świetnym miejscu: z trzech stron otoczona najlepszymi matematykami. Tak wyglądała część pisemna. Maturę usną zdawało się kiedyś inaczej. Byłam pierwszą maturzystką w swojej klasie. Niech nie zmieni cię słowo „pierwsza”. To wcale nie znaczy, że byłam taka mądra. Matura zaczynała się 4 czerwca po południu. Graffik zdających był ustalony następująco: najpierw ja, potem Celina Jankowska (teraz Polańska, również polonistka), Helena Maćków (Siwak) i Maria Szela (już nie żyje). Wchodziłam pierwsza z jeszcze jedną osobą.. Losowałam tematy z języka polskiego, po przygotowaniu zdawałam. Jednak potem nie

wychodziłam z sali, tylko wybierałam kolejną karteczkę, tym razem z języka rosyjskiego i znowu odpowiadałam. Tak samo wyglądało z kolejnymi przedmiotami. W tym czasie do sali przybywali kolejni zdający.

I.P.: Ile przedmiotów Pani zdawała w ciągu jednego dnia?

Z.Ch.: Wszystkie wymagane: wcześniej wspomniane: język polski, rosyjski oraz historię, konstytucję, matematykę, geografii, fizykę...

I.P.: Egzamin z konstytucji - brzmi to nieco egzotyycznie.

Z.Ch.: Każdy maturzysta zobowiązany był wtedy znać konstytucję, oczywiście tej jedyną, z 1953 roku.

I.P.: Zastanawiam się, jak organizacyjnie wyglądało przeprowadzenie matury z tylu przedmiotów w jednej sali. Funkcjonowało kilka komisji egzaminacyjnych?

Z.Ch.: Nie, była jedna wielka komisja, składająca się z nauczycieli tych wszystkich przedmiotów, pamiętam, że był też gość z innej szkoły dyrektor liceum w Twardogórze. Egzamin zdawałam w sali, która znajduje się po stronie obecnego gimnazjum, na parterze w końcu korytarza. Pamiętam, jak nazwozili do pracowni rozmaitych pomocy naukowych, które miały być wykorzystane podczas egzaminu z przedmiotów ścisłych. Moja koleżanka, która nie wiedziała, do czego to służy, od razu popuła większość z umieszczonych tam przyrządów. Nic dziwnego. My naprawdę tego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Chodziłam do skromnej, pod względem wyposażenia, rozwojowej szkoły.

I.P.: Jak długo trwał taki złożony egzamin?

Z.Ch.: Jak weszłam do sali o 15., to wróciłam do domu ok. 22. czy 23. godziny. Ze świadomością, że wszystkie egzaminy mam już za sobą.

I.P.: Pamięta Pani, kto wchodził w skład komisji egzaminacyjnej?

Z.Ch.: Pewnie, że pamiętam. Wspomniany wcześniej pan dyrektor liceum z Twardogóry, nasz dyrektor Józef Jarosz w podwójnej roli szefa i nauczyciela historii oraz konstytucji, jego żona Jadwiga Jarosz polonistka, Aniela Bojczuk rusycystka (uczyla rosyjskiego po ukraiński), Piotr Borejko uczył biologii, Marian Kowalczyk geograf, Czesław Rydzik matematyk, Stefan Kazimierzczak fizyk oraz jego żona chemiczka Danuta Kazimierzczak.

I.P.: Jak dużo osób z Pani klasy zdało maturę?

Z.Ch.: To trochę skomplikowana sprawa. Nasza klasa przed maturą liczyła ok. 30 osób, choć rozpoczęliśmy w liczbie 47. Byliśmy takim rocznikiem, w którym nagromadziło się wielu repetentów. Nie zdali poprzednio matury i doszli do nas, by jeszcze raz spróbować. W tym czasie w liceum były pojedyncze klasy w danym roczniku. Dwie osoby z naszej klasy nie zostały dopuszczone do egzaminu. A w zasadzie honorowo, wiedząc, że i tak sobie nie poradzą, w kwietniu opuściły szkołę. Po pisemnym odpadło ok. 4-5 kolegów i koleżanek Świadectwa dojrzałości z naszej klasy odebrały, chyba, 22 osoby.

I.P.: Po maturze był bal?

Z.Ch.: Tak, mieliśmy bal maturalny, oczywiście w szkole, ale grała prawdziwa orkiestra, nie jak na studniówce - adapter. Na bal dziewczęta mogły

wreszcie włożyć pantofelki na obcasie i cienkiutki rajstopy. Takie rajstopy to był wtedy rarytas. Zazwyczaj dziewczęta chodziły w takich patentowych rajstokach, które miały tę wadę, że się związały, marszczyły, opadały. Bezwzględnie jednak zakazywano makijażu. Jeśli nauczyciel lub dyrektor zobaczyli którąś z nas wymalowaną, wyrzucili. Nawet nie próbowałyśmy się sprzeciwić. Po latach to się wspomina bardzo sympatycznie.

I.P.: Na ostatnim zjeździe absolwentów patrzyłam z zazdrością, jak licznie przybyły pierwsze roczniki i jak wspinały się bawiały?

Z.Ch.: Spotykamy się często i to nie tylko w klasowym gronie. Przynam, że byłam bardzo związana ze starszym rocznikiem i do tej pory utrzymuję z nim kontakt. Można powiedzieć, że wszelkie spotkania zaczynają się ode mnie. Jestem kimś w rodzaju banku danych adresowych i skrzynką kontaktową. Nawet wczoraj dzwonili dwaj koledzy, jeden z Zielonej Góry, drugi z Rudy Śląskiej z pytaniem, kiedy będzie kolejne spotkanie klasowe. Myślę, że na prelomie maja i czerwca znowu się zbierzemy. Jedną z moich koleżanek powiedziała kiedyś tak: *Będziemy się tak długo spotykać, dopóki nie zostanie nas dwoje, a później jedno.*

I.P.: Pani Profesor, proszę się przyznać, ściała Pani na maturze? Oczywiście pomijając matematykę.

Z.Ch.: Na innych przedmiotach nie.

I.P.: Jak kiedyś wyglądały ścigi?

Z.Ch.: Nie wiem. My tego nie robiliśmy. Oczywiście na lekcjach podpowiadaliśmy sobie, nauczyciele mieli czasem przyptoniey słuch, a może po prostu nie chcieli słyszeć. Ale ścigani nie było!

I.P.: Po pewnym czasie zajęła Pani miejsce z drugiej strony biurka. Jak wtedy postrzegala Pani maturę?

Z.Ch.: Ani podczas własnej matury, ani później, będąc nauczycielem, nie panikowałam. Zawsze na spokojnie, z dystansem podchodziłam do sprawy. Jednego nie tolerowałam na maturze: pomocy z zewnątrz. Jeśli jeden uczeń pomaga drugiemu - nie mam zastrzeżeń. „Samopomoc” uczniowska jest naturalnym zjawiskiem, ale jeśli ktoś próbuje wpłynąć na wynik matury, przekupić to jest wstęne.

I.P.: Utkwiło Pani w pamięci jakieś szczególne zdarzenie z egzaminu?

Z.Ch.: Pamiętam jedną maturę pisemną z matematyki. Na piszących padł błąd strach. Najpierw zaczęła płakać jedna uczennica, potem następna i, na zasadzie psychologii tłumu, za chwilę płakała prawie cała sala. To było takie nieprzyjemne. Pamiętam też, jak kiedyś dziewczyna, naprawdę bardzo dobra uczennica, nie potrafiła na egzaminie ustnym powiedzieć ani jednego słowa. Tak ją zżarała trema. Bałam się, że dostanie zawału. Pozwolił mi jej odejść od stołu, odpocząć, pozbierać myśli. Potem jeszcze raz wylosowała pytania i udało się.

I.P.: Czy chciałaby Pani Profesor zobaczyć maturę w jej nowym, zreformowanym wydaniu?

Z.Ch.: Nie. Podejrzewam, że jest bardzo nudna.

I.P.: Dziękuję za rozmowę.

Iwona Pawłowska

Klamka zapadła Ostatni dzwonek przy kolejowej

Na zebraniu Komisji Oświaty, Kultury i Kultury Fizycznej Rady Miejskiej w dniu 23 kwietnia argumenty za przeniesieniem Gimnazjum nr 1 przedstawiali głównie Burmistrz Ireneusz Żurawski, radny Leszek Antonowicz oraz Zbigniew Wróblewski. Burmistrz podkreślił, że przeniesienie umożliwi m.in. integrację młodzieży w wieku gimnazjalnym, L. Antonowicz zestawil kilkanaście argumentów za i kilka przeciw i przestrzegł pozostałych radnych, aby nie dali się „przerobić” przez rodziców (tak mieli oni wypowiedzieć się prywatnie). Ewa Karska w imieniu zaproszonych rodziców raz jeszcze wyraziła obawy dotyczące, np. bazy sportowej i stołówki. Radny Andrzej Zająć wskazał na trudności, jakie może mieć autobus z dziećmi, który będzie musiał zakrecać przy szpitalu, Kinga Maciejak ubolewała, że decyzja zapada w takim trybie, na co burmistrz powtorzył, że musiała ona zapasać błyskawicznie. Zdaniem Romana Gorzkowskiego można z przeniesieniem poczekać, np. do zakończenia budowy boiska albo dłużej i od razu połączyć dwa gimnazja, wydłużony dowóz uczniów pociągnąć może nieco większe koszty. Ten ostatni powątpiewał, czy budżet miasta zmuszony byłby od razu i wyłączenie ponieść koszty już wykonanego przez Starostwo remontu sali sportowej przy ul. Kolejowej i koniecznych inwestycji w Gimnazjum nr 1, a także wskazał na artykuł w *Gazecie Złotoryjskiej* z 28 marca, po którym, według niego, Rada Miejska właściwie nie ma już nic do roboty. Burmistrz odparł wówczas, że nie należy przywiązywać wagi do tego, co piszą gazety.

Sesja Rady Miejskiej w dniu 25 kwietnia w/s pierwszej kolejności zajęła się uchwałą w/s przeniesienia Gimnazjum nr 1. Ewa Karska i Małgorzata Lipniak, które przyszły na sesję wraz z grupą uczniów, powtórzyły wszystkie argumenty (patrz *Echo* z kwietnia b.r.), które - zdaniem rodziców oraz gimnazjalistów - czynią decyzję niekorzystną dla młodzieży i krótkowzroczną. Przedstawiciele gimnazjalistów znów trzymali transparenty: *Dzieci i ryby głosu nie mają... Do szkoły przy Wilczej mamy po 3 km i więcej. Dobrze nam przy Kolejowej.* Rodzice przypomnieli radnym, że zostali wybrani przez mieszkańców - „W Was nasza jedyna nadzieja, młodzież w Was wierzy!”. R. Gorzkowski zreferował wątpliwości podnoszone w dyskusjach podczas dwóch posiedzeń Komisji Oświaty. Krystyna Barcik oraz Andrzej Zająć podkreśliłi, że radni, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że zostali wybrani, bardzo wnikliwie rozpatrzyli racje wszystkich stron, również podczas obrad Komisji Budżetu i Finansów. K. Barcik stwierdziła, że inne szkoły czują się zaniepokojone, że nakłady finansowe na Kolejową odbywałyby się kosztem innych szkół (zapewne chodziło głównie o SP 1 - *RG*), wyraziła przekonanie, że służby burmistrza będą eliminować ewentualne zagrożenia wynikające z przeniesienia placówki. Na zakończenie dyskusji Burmistrz I. Żurawski zdecydował się podzielić następującymi refleksjami pod adresem głównie rodziców oraz uczniów: wyraził współczucie dyrekcji Gimnazjum nr 2, że Ewa Karska tak negatywnie scharakteryzowała budynek przy Wilczej, stwierdził, że nie jest dobrym obyczajem obrażanie ludzi, podkreślił, że był to dla niego najtrudniejszy projekt od początku sprawowania tej funkcji i dlatego został dokładnie przemyślany.

W głosowaniu 12 radnych poparło przeniesienie Gimnazjum nr 1 na ul. Wilczą, dwóch (R. Gorzkowski oraz Waldemar Wilczyński) było przeciw, wstrzymał się od głosu Bogdan Łoś. Po sesji burmistrz podziękował radnym za podjęcie uchwały, raz jeszcze potwierdził, że była ona najtrudniejsza, wyraził nadzieję, że jego stosunki z młodzieżą pozostaną dobre, ponieważ „młodzież jest najważniejsza”.

Roman Gorzkowski



Jeszcze przed kilkoma miesiącami, tuż po zwariowanej studniówce, nasi licealiści odnosili się do matury z wielkim optymizmem; „jakoś to będzie” - słychać było głasy maturzystów na szkolnym korytarzu. Nie przerażała ich myśl o egzaminie dojrzałości. Dziś, z perspektywy tych trzech miesięcy, absolutnie zmieniają zdanie. Niewiarygodnie szybko z rozbawionych młodzieńców stali się poważnymi ludźmi. Z roześmianych twarzy znikł uśmiech, a na dobre zagościł strach i wielki niepokój. Na wszelki wypadek wielu przestrzega starych przesądów, takich jak: czerwona bielizna, pożyczona rzecz, nieobcięte włosy od studniówki. A nerwy, jakie im towarzyszą przed maturą, są nie do opisania. Trzęsące się ręce, załamujący głos, skurczony żołądek. Wszyscy to jednak muszą przeżyć i sprawdzić na własnej skórze. Jak to jest, gdy wchodzi się do „sali rozpraw”, czyli na egzamin ustny? Zapytani przez nas maturzyści odpowiadają zgodnie - „droga przez mękę”.

W Złotoryjskim liceum ogólnokształcącym od początku roku szkolnego trwały przygotowania maturzystów do egzaminu. Nauka była intensywna. Choć zdarzali się uczniowie, którzy oprzytomniali tuż przed maturą. Były różne sposoby przygotowania się do egzaminu w zależności od potrzeb i ambicji. Jednym wystarczyły dobre notatki, warsztaty z wybranych przedmiotów i porozwieszane w domu karteczki. Drugim - kółka zainteresowań. Byli i tacy, którym mogły pomóc tylko korepetycje. Nauczyciele z wielką cierpliwością starali się wszystkimi możliwymi sposobami pomóc swoim podopiecznym.

W całej Polsce, nie pomijając Złotoryi, matury rozpoczęły się 4 maja od obowiązkowego, pisemnego egzaminu z języka polskiego. Ci, którzy są wielbicielami przedmiotów humanistycznych, a więc przede wszystkim uczniowie klas anglistycznych oraz dwujęzycznych, nie musieli się zanadto martwić. To właśnie oni, choć nie wszyscy, decydowali się na poziom rozszerzony. „Od początku liceum pokochałam lekcje polskiego (...)

Bandycka akcja Służby Bezpieczeństwa

W maju mija dwudziesta trzecia rocznica spalenia samochodu arcybiskupa wrocławskiego ks. Henryka Gulbinowicza. Doszło do tego 19 maja 1984 r. około godz. 18.00 na podwórzu plebanii przy ul. Klasztornej w Złotoryi*. Wydarzenie warte jest przypomnienia również dlatego, iż w sprawie zamieszani byli ci sami oficerowie SB (Z. Płatek i A. Pietruszka), którzy kilka miesięcy później uczestniczyli w bestialskim mordzie na Ks. Jerzym Popieluszce.

Arcybiskup Henryk Gulbinowicz również po zakończeniu stanu wojennego wspierał podziemną „Solidarność”, w kościołach archidiecezji odbywały się msze św. za Ojczyznę, spotykały się działacze zdelegalizowanego Związku. Nic więc dziwnego, że Służba Bezpieczeństwa podjęła wobec niego daleko idące działania zastraszające, które prowadziły do jego „uciszenia”. 19 maja abp Gulbinowicz uczestniczył w uroczystości biżmowania w kościele Mariackim.

Najprawdopodobniej 18 maja 1984 r. rano w gabinecie dyrektora Departamentu IV (odpowiadającego za akcje wymierzone w Kościół katolicki) Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie Zenona Płatka, w obecności także jego zastępcy Adama Pietruszki, oficerowie SB Waldemar Pelka oraz Piotr Grosman otrzymali polecenie spalenia samochodu. Według zeznań obu oficerów, jakie potem złożyli podczas procesu, mieli oni zdecydowanie odrzucić propozycję A. Pietruszki, aby jadące auto obrzucić kamieniami. Dodajmy, iż Grzegorz Piotrowski w ten właśnie sposób przeprowadził pierwszą próbę zamachu na ks. J. Popieluskę w październiku 1984 r.

Jeszcze tego samego majowego dnia, już w Legnicy, podczas spotkania z płk. Ignacym Wójcikiem, ustalono, że grupę uzupełnią funkcjonariusze Departamentu IV Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Legnicy, Józef Kowalczyk oraz Włodzimierz Kudelski. Następnego dnia, przydzielony przez Wójcika samochodem, cała ekipa udała się do Złotoryi. Podczas rozpoznania terenu W. Pelka pokazywał P. Grosmanowi ciekawsze zabytki miasta, ale już nieco wcześniej nad zalewem przygotowano kanister z benzyną. Gdy, jak zeznawali później, „ze zdumieniem i zadwojeniem” stwierdzili, że samochód arcybiskupa stoi samotnie na środku podwórza plebanii, ruszyli do akcji: Pelka wybił kluczem samochodowym tylną szybę, Grosman wlał do wnętrza paliwo, a Kowalczyk wrzucił zapaloną zapalniczkę. Nie zdążył jednak na czas odskoczyć i poparzył sobie dotkliwie ręce i klatkę piersiową. Natychmiast wskoczyli do służbowego fiata, w którym oczekiwał na kolegów Kudelski. W przychodni w Jaworze opatrzone rany Kowalczykowi. Po powrocie do Legnicy zdali relację Wójcikowi. Grosman i Pelka przez Wrocław wrócili do Warszawy, a Kowalczyk dostał kilkunastodniowe zwolnienie lekarskie z pracy.

Tymczasem Straż Pożarna ugasiła samochód, a świadkowie przekazali kierowcy ks. Gulbinowicza opis i numery rejestracyjne samochodu, którym oddalili się sprawcy. Te dane otrzymała złotoryjska milicja, która wraz z prokuratorem ustaliła wkrótce, że auto należy do WUSW w Legnicy. Płk Wójcik jeszcze w tym samym dniu przyjechał do Złotoryi,

uspokoił tutejszych milicjantów, że auto było tylko obstawą uroczystości kościelnej, a następnie próbował złożyć wyrazy ubolewania arcybiskupowi, dzwoniąc na plebanie. Dziekan Stanisław Jakubowski przekazał mu jednak, że arcybiskup jest zmęczony i do telefonu nie podejździe.

Złotoryjska prokuratura, pod przewodnictwem Adama Michno, badała sprawę do jesieni 1984 r. Zbigniew Krakowiecki z IV Wydziału WUSW zeznał, iż był wtedy autem w Złotoryi, ale nikogo nie przewoził(w 1991 r. oświadczył, że tak kazał mu powiedzieć Wójcik). Z ekspertyz, zleconych przez prokuraturę, a wykonanych przez Zakład Kryminalistyki Komendy Głównej MO, Szkołę Główną Służby Pożarniczej oraz elektromechaników, wynikało, że przyczyną pożaru było zwarcie elektryczne, spowodowane wadliwie zamontowanym urządzeniem antyradarowym. 30 października 1984 r. prokuratura powzięła decyzję o umorzeniu śledztwa, stwierdzając w uzasadnieniu, m.in., „że wersja o podpaleniu opiera się na pogłoskach, które z uwagi na anonimowy charakter, nie mają rangi dowodu i w związku z tym nie mogą stanowić podstawy do przyjęcia zaistnienia przestępstwa”. Co ciekawe, w legnickim WUSW pracowała równolegle grupa operacyjno-śledcza, która miała wykryć przyczynę pożaru. Jej postępami interesował się telefonicznie nawet Zenon Płatek.

Na ślady prawdziwych mocodawców i wykonawców natrafił dopiero w 1991 r. specjalny zespół prokuratorów w Departamencie Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości. Proces przeciwko Pelce, Grosmanowi i Kowalczykowi toczył się przed Sądem Rejonowym w Złotoryi od listopada 1991 do lutego 1992 r. Oskarżeni przyznali się do winy, wyrazili skruchę i przeprosili Kardynała Gulbinowicza za swój czyn. Relacjonując szczegółowo wydarzenia, oświadczyli, że wybrali mniejsze zło. Pelkę „ścięło z nóg”, gdy po spaleniu samochodu Zenon Płatek zapytał go, na czyje polecenie tego dokonał. Wtedy oskarżony miał zrozumieć, że stał się przedmiotem jakichś manipulacji i przypuszczał, iż polecenie tego zadania wyszło od samego Czesława Kiszczaka. Zostali też przesłuchani Z. Płatek i A. Pietruszka. Obaj zaprzeczyli, że wydali polecenie spalenia samochodu arcybiskupa i stwierdzili, że taki pomysł rozdził się z pewnością poza Departamentem IV. Oskarżyciel zażądał dla oskarżonych kar od 2,6 do 4 lat. Sąd w składzie: Marek Regulski - przewodniczący i ławnicy: Jan Węgrzyn i Anna Szczepaniak, powołując się na amnestię z lipca 1984 r., umorzył postępowanie karne wobec wszystkich oskarżonych. Prokurator zaskarżył wyrok, lecz Sąd Wojewódzki w Legnicy i ostatecznie Prokuratura Wojewódzka w Warszawie w czerwcu 1996 r. utrzymały go w mocy.

Roman Gorzkowski

* Niniejszy tekst oparto na artykule Pawła Piotrowskiego, *Podpalacze*, zamieszczonym w Biuletynie Instytutu Pamięci Narodowej 10/2004 oraz artykułach *Kulisy SB-ckiej akcji* w Gazecie Złotoryjskiej z lat 1991-1992.

Zdarzyło się w maju

1312 - książę legnicki Bolesław zezwolił „swoim mieszczanom ze Złotoryi” wynająć pole oraz założyć na nim ogrody i uprawę chmielu
1329 - ten sam władca zezwolił opatowi cystersów w Lubiążu sprzedać młyn koło Złotoryi
1349 - dokument wymienia Idziego, rektora miejskiej szkoły
1393 - miasto kupiło obszar lasu przy drodze do Lwówka koło przysiółka wsi Czaple zwanego Choicem; las, nazwany Lasem Złotoryjskim, pełnił ważną rolę w gospodarce miejskiej
1428 - drugi najazd husytów na Złotoryję
1456 - rozruchy przeciwko radzie miejskiej doprowadziły do śmierci dwóch rajców oraz zniszczenia zakładów rzemieślniczych przy ul. Basztowej
1463 - sołtys i ławnicy miasta Złotoryi potwierdzili przekazanie zakonowi joannitów czterech grzywnien czynszu z ogrodu przy fosie
1474 - biskup wrocławski Rudolf wyjął kaplicę św. Jodoka na przedmieściu Złotoryi spod władzy komtura joannitów i przyłączył do kościoła w Rokitynicy
1497 - książę Stanislaus Schönwälder przeznaczył na mszę ku czci Panny Marii i za dusze wiernych 100 grzywnien czynszu
1516 - sołtys i ławnicy miejscy potwierdzili sprzedaż joannitom pół grzywny czynszu
1761 - spłonęło 12 domów przy ul. M. Konopnickiej
1769 - pożar zniszczył 11 domów w Rynku
1813 - w związku z wojnami napoleońskimi w mieście kwaterowali car Aleksander I i król pruski Fryderyk Wilhelm III; to zapewne najznamienitsi goście w historii miasta; równocześnie trwały przemarsze licznych wojsk
1848 - doszło do rozruchów na fali wydarzeń

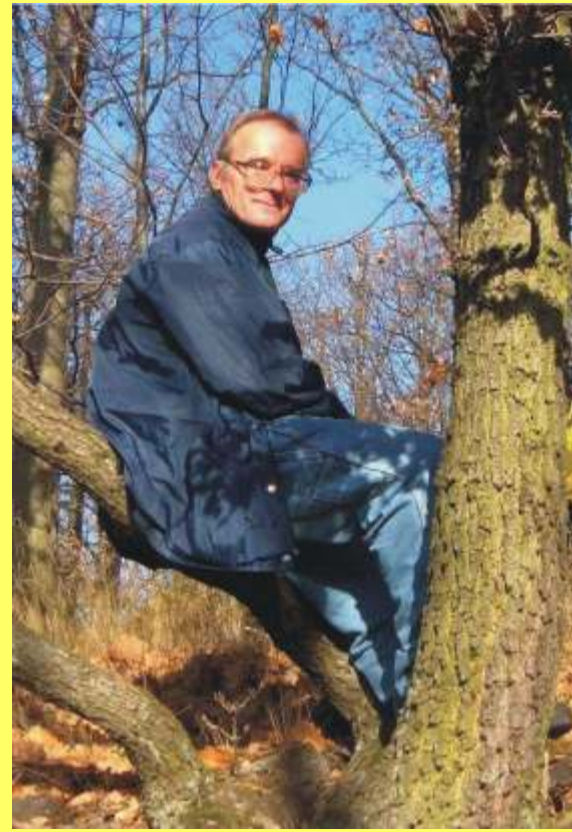
związanych z Wiosną Ludów w Europie
1908 - odsłonięto, z inicjatywy nauczycieli, pomnik Valentina Trozendorfa na skwerze przed obecną Szkołą Podstawową nr 1
1912 - przy dzisiejszej ul. S. Staszica tutejszy Związek Sportowy odsłonił pomnik Ludwiga Jahna, uważanego za ojca sportu niemieckiego
1915-1916 - Polacy z Wielkopolski, służący w złotoryjskim garnizonie, wysyłali kartki pocztowe do rodzin(zachowały się w zbiorach złotoryjskich kolekcjonerów)
1917 - w dzwonnicy dużej wieży kościoła Mariackiego rozbito potężny dzwon i zrzucono w kawalkach z wieży - padł ofiarą I wojny światowej
1945 - przyjazd do miasta, zwanego wówczas Złotą Górą, zorganizowanej grupy osadników na czele z Antonim Skowronem i Władysławem Cieślą, która stanowiła załazek polskiej administracji państwowej
1946 - zarejestrowano złotoryjski oddział żydowskiego Zjednoczenia Syjonistów-Demokratów „Ichud”
1947 - przeniesiono siedzibę Sądu Grodzkiego z Chojnowa do Złotoryi
1949 - powstała orkiestra dęta przy Zakładach Górniczych „Lena”
1952 - otwarto dla ruchu osobowego kolej z Jerzmaniec Zdroju do kopalni „Lena”; żyją jeszcze złotoryjanie, którzy w ten sposób dojeżdżali do pracy
1957 - otwarto Powiatowy Dom Kultury po pięcioletnim okresie budowy
1965 - odsłonięto pomnik „W 20-tą rocznicę powrotu Ziemi Złotoryjskiej do macierzy” u zbiegu ul. S. Staszica i M. Konopnickiej
1968 - po raz pierwszy obchodziliśmy Dni Złotoryi;

rzeźbiarz wrocławscy zatwierdzili aktualny herb Złotoryi
1972 - rozstrzygnięto konkurs na hejnał miejski - zwyciężyła melodia Radomira Reszke
1975 - zlot nauczycieli-pionierów; ukazała się jednodniówka „Życie Złotoryjskie”
1977 - PTTK zorganizowało pęczek złota
1984 - wizyta arcybiskupa wrocławskiego ks. Henryka Gulbinowicza w Złotoryi, podczas której funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa spalili jego samochód; I Ogólnopolski Zlot Motocykli Dawnych i Ciężkich, zorganizowany przez Zdzisława Seńczuka
1985 - oddano do użytku przedszkole przy ul. Gómiczej; przed budynkiem LO odsłonięto obelisk z okazji 40-lecia zwycięstwa nad faszyzmem
1986(?) - odbył się pierwszy Wyścig Kolarski „O Złotą Wstęgę Kaczawy”
1989 - powstało Koło Związku Sybiraków
1992 - udostępnienie przez TMZZ dla zwiedzających wieży widokowej kościoła Mariackiego
1994 - pierwsze Międzynarodowe Otwarte Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota, zorganizowane przez Polskie Bractwo Kopaczy Złota; od tej pory, z niepotrzebną przerwą w 1999, odbywają się corocznie w ostatni weekend maja. W 2000 - odbyły się mistrzostwa świata w tej dyscyplinie
1995 - odsłonięto repliki pomnika Valentina Trozendorfa obok wejścia na wieżę widokową kościoła Mariackiego
1996 - otwarcie poczty przy Pl. J. Matejki po generalnym remoncie; miasto postanawia prowadzić kronikę i powierza ją Romanowi Gorzkowskiemu; uruchomienie odremontowanego mostu na Kaczawie obok stacji PKP

1997 - na Pl. J. Matejki stanął pomnik płukacza złota, dar firmy „Kamieniarz” z Kielc; Złotoryja stała się członkiem Euroregionu Nysa; ukazały się *Dzieje Złotoryi*, wydane przez TMZZ, pierwsze powojenne opracowanie historii miejscowości; po raz pierwszy zorganizowana grupa byłych absolwentów i uczniów Fundacji Schwabe-Priesemuth (przedwojennej szkoły w gmachu przy ul. Kolejowej) odwiedziła LO
1998 - powstała Unia Złotych Miast, ze Złotoryją, Goldkronach, Złatymi Horami i Złotym Stokiem; z przystanku koło zalewu odjechał pociąg-retro; miejskie muzeum przybrało nazwę Muzeum Złota
1999 - w budujących się kościele św. Józefa Robotnika na Kopaczku odprawiono pierwszą mszę św.; odbył się mecz piłkarski AWS - SLD
2000 - podpisanie przez miasto umowy partnerskiej z Mimoniem w Czechach
2001 - wiele miejskich imprez przebiegało pod hasłem 790-lecia Złotoryi; na krótko uruchomiono fontanny w Rynku; podczas Spotkania Pokoleń, zorganizowanego przez SLD i Stowarzyszenie Młodej Lewicy Demokratycznej, odśpiewano *Międzynarodówkę*
2003 - przejechał przez miasto Wyścig Pokoju; powstało koło Demokratycznej Partii Lewicy
2005 - m.in. podczas Pikniku Europejskiego świętowaliśmy rocznicę wejścia Polski do UE; w związku z generalną renowacją kościoła NNMP odwiedził miasto Generalny Konserwator Zabytków; odbyło się seminarium naukowe „Bogactwa przyrody nieożywionej Pogórza Kaczawskiego”(a w kwietniu 2006 zakład eksploatujący bazalt na Wilkołaku opracował projekt likwidacji rezerwatu oraz całego wzniesienia)

(gar)

Wspomnienie o Rysku



W dniu 23 kwietnia 2007 r. odszedł od nas nasz kolega Ryszard Spera.

Z Ryskiem przewędrowaliśmy po Górach Kaczawskich i innych miejscach dziesiątki kilometrów. Niezwykle poważnie traktował swoją rolę przewodnika i zawsze był świetnie przygotowany do wędrowki. Wcześniej osobiście testował całą trasę, aby nie zaskoczyły nas trudności terenu, a podczas rajdu zaskakiwał wiadomościami merytorycznymi o miejscach, gdzie byliśmy.

Wędrowki z Ryskiem nie były łatwe. Długość trasy sięgała zwykle 20 i więcej kilometrów. Sarkaliśmy często podczas rajdu, że tak daleko albo, że tak trudno. Rysiek umiał to zawsze obrócić w żart lub podać istotny powód naszej „męczarni”, dlatego szliśmy z Nim za miesiąc jeszcze raz i jeszcze wiele razy. Potem wielokrotnie wspominaliśmy nasze rajdy i śmiało się z tych tras, które były najtrudniejsze, i które dały nam najbardziej w kość. To były wspaniałe chwile. W naszej pamięci pozostanie ostatni nasz rajd z Ryskiem trasą z Siedlęcina przez Perłę Zachodu do Jeleniej Góry. Trasa była długa i wspaniała. Był już wtedy bardzo chory, ale szedł równo z nami. Był pogodny, żartowali. Nie narzekał na nic.

W ostatnich latach często można go było spotkać w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, m. in. dzięki niemu mogliśmy być pewni, że przychodzący tutaj nie pozostaną bez pomocy. Pomagał w wielu przedsięwzięciach TMZZ. W ubiegłych sezonach bardzo dużo czasu spędził w wieży widokowej kościoła Mariackiego, gdzie społecznie dyżurował i służył radą turystom.

Wiadomość o Jego śmiertelnej chorobie zaskoczyła wszystkich - aktywny był przecież do ostatniego pobytu w szpitalu.

Rysiek miał tylko 50 lat! Moglibyśmy przejść razem jeszcze wiele kilometrów i wspólnie zrobić dużo dla Ziemi Złotoryjskiej. Żalujemy, że stało się inaczej. Będziemy o Nim pamiętać.

Żegnaj, Rysku!

Przyjaciele z TMZZ i turystycznych wypraw

Historia jednej fotografii

Przed wszystkim dziękujemy Czytelnikom, którzy pomogli zidentyfikować osoby, które w 1965 r. wznosiły pomnik „XX-lecia powrotu Ziemi Złotoryjskiej do Macierzy”(ECHO nr 4/17).

Kolejna fotografia pochodzi zapewne również z tych lat. Przez złotoryjski Rynek, zwany wówczas Placem Wolności, przechodzą uczniowie jednej ze szkół podstawowych. Jaka uroczystość ich tutaj przywiodła? Kto potrafi rozpoznać uczniów oraz nauczycielkę? Ciekawe, czy niebawem znów zobaczymy uczniów w mundurkach, podobnych do tych na zdjęciu? (gar)





Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT

konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212



Galeria sponsorów



grysy bazaltowe



- plukano
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023



Kamienie trzeba kochać

W małym mieszkaniu Zofii i Waclawa agaty są wszędzie: pięknie wyeksponowane w centralnym miejscu pokoju, na półce za drzwiami, pieczolowicie zapakowane w specjalnych kasetkach w czeluściach mebli i też gdzieś daleko w piwnicy - „żeby się strop nie zawalił od skal” - żartuje Waclaw. Wielobarwne kamienie z charakterystycznymi wstęgami od razu przykuwają wzrok. Tak są różnorodne, że patrzenie na nie nigdy się nie znudzi.

Agnieszka Młyniczak: Jak zaczęła się twoja przygoda z kamieniami?

Waclaw Sieradzki: Jak sięgnę pamięcią, ciągnęło mnie do kamieni zawsze. Jako dwunastoletni chłopak chodziłem z moimi dwoma braćmi po polach Rzeszowszczyzny, zbierając rozmaite kamienie. Wtedy uczyłem się je rozpoznawać. Gdy skończyłem 14 lat, przyjechałem z rodziną do Złotoryi.

podgląda tych zaawansowanych, często pracuje razem z nimi, ucząc się rozpoznawania agatów w stanie surowym i jak powinno wyglądać miejsce, gdzie one mogą występować. Po kilku tygodniach takiego terminowania jest w stanie określić rodzaj minerału, widząc bułą kamienną.

A.M.: Jak długo trwała twoja nauka?

Waclaw: Każdej umiejętności, którą chce się wykonywać w sposób doskonały, trzeba poświęcić bardzo dużo pracy i serca. Kamienie trzeba pokochać, wtedy ma się i szczęście do ich znajdowania, i szybko się przyswaja umiejętności. Ja po dwudziestu kilku latach poszukiwań mogę powiedzieć, że znam się na agatach. Teraz po oględzinach przykladowego okazu mogę od razu określić, w którym miejscu Dolnego Śląska został znaleziony.

Zofia: I tak właśnie się poznaliśmy, przy szukaniu agatów. W latach osiemdziesiątych dużo słyszałam o braciach Sieradzkich. Byli sławni w środowisku miłośników minerałów. Razem z koleżanką jeździliśmy za braćmi i, podglądając ich sposób pozyskiwania minerałów, same próbowałyśmy kopać. Zaprzyjaźniłyśmy się z tym męskim zespołem, potem już wspólnie poszukiwaliśmy agatów, wymienialiśmy informacje. Można powiedzieć, że agaty nas połączyły.

Gdy nasze dziecko miało przyjść na świat, postanowiliśmy, że jeżeli to będzie dziewczynka, damy jej na imię Agata - uśmiecha się Zofia. - Ale urodził się chłopak.

A.M.: Wacku, od kiedy zaczęłaś kolekcjonować agaty?

Waclaw: Gdy już nabierałem dużo kamieni, mogłem wyjeżdżać z nimi na giełdy minerałów, aby je sprzedać. Nie wszystkie udało się spieniężyć. Na tych giełdach spotykałem się z innymi kolekcjonerami i mogłem wymienić się z nimi na moje okazy. Wtedy zaczęło się kolekcjonowanie agatów. Zaczęło się od skromnych okazów, z czasem do kolekcji przybywały coraz piękniejsze i bardziej okazałe.

A.M.: I wtedy zaczęłaś interesować się agatami?

Waclaw: Nie, najpierw z braćmi oczywiście szukaliśmy złota! Tłukliśmy różne kamienie w poszukiwaniu kruszcu, robiliśmy nieporadne próby plukania złota z wód Kaczawy. Szczerze mówiąc, wtedy nie interesowałem się agatami. Ale pewnego razu - chyba to było na początku lat siedemdziesiątych - wyczytaliśmy w jakiejś lokalnej gazecie, że blisko nas, w Nowym Kościele, występują kamienie półszlachetne - agaty. Oczywiście, natychmiast zapaliliśmy się do ich poszukiwań.

A.M.: Jak to było, gdy pierwszy raz zobaczyłaś agaty?

Waclaw: Po tej nocy w gazecie moi bracia Rysiek i Janek wybrali się w niedzielę do Nowego Kościoła. Ja nie mogłem jechać, bo wtedy pracowałem jako młodociany. Strasznie im zazdrościłem! Gdy bracia wieczorem wrócili z geodą agatową, nie posiadali się z radości. Na drugą niedzielę pojechaliśmy już wszyscy trzej. Poszliśmy szlakiem agatowym, który miejscowi mieszkańcy doskonale znali. Ten dzień był dla mnie szczęśliwy. Agaty znalazłem w strumyku. Dużo ich wtedy przywiozłem do domu. I tak to się zaczęło.

A.M.: Na czym polega szukanie agatów?

- A, to ja opowiem - do rozmowy włącza się przyjaciółka Waclawa, **Zofia Korkosz**. Poszukiwacz musi być wyposażony w sprzęt. To nie musi być nic specjalnego. Wystarczy mały kilof czy nawet zwykła motyczka, do tego musi być młotek, no i jakiś plecak na znalezione okazy. Agaty występują zwykle w zboczach strumieni, wypłukane przez wodę, bardzo często w zwirowniach, w nieczynnych kopalniach odkrywkowych. Taki zbieracz, zaopatrzony w sprzęt do kopania, po prostu ryje ziemię w poszukiwaniu kamiennych buł.

A.M.: A jak się rozpoznaje czy to agat, czy zwykły kamień?

Waclaw: Każdy początkujący zbieracz najpierw

A.M.: No właśnie, możesz powiedzieć, ile masz agatów? Tych zebranych przez siebie?

Waclaw: Nigdy ich właściwie nie liczyłem, ale wiem doskonale w którym miejscu umieściłem konkretny kamień, a gdy zamknę oczy, mam pod powiekami obraz całej mojej kolekcji. Gdyby ktoś chciał mi zabrać albo przestawić jakiś okaz, natychmiast to zauważę! Doskonale znam każdy kamień w mojej kolekcji, a te znalezione przeze mnie osobiście, pamiętam łącznie z okolicznościami i miejscem znalezienia. O, za ten kryształ górski otrzymany od brata musiałem odpracować 10 dniówek obróbki kamieni - uśmiecha się Waclaw. - A ten, popatrz - kolekcjoner prezentuje piękny okaz oszlifowanego kolorowego agatu z połyskującymi złotymi drobinkami - ten jest z Lubiechowej - ze złotem! A ten pod światło - jaki piękny! Trochę jest przezroczysty. A z kolei pasemka tego agatu, to jakby dinozaur stał na tylnych łapach! Każdy z nich jest inny, każdy jest szczególny. A ten minerał jest najpiękniejszy! Też z Lubiechowej. Ma w sobie jasnozielony jaspis, agat, o, to te pasemka, fioletowy ametyst, kryształ górski i złoto - Waclaw prezentuje kolejne okazy agatów i innych minerałów z dumą i ciepłem w oczach.

A.M.: Widzę, że masz do nich bardzo emocjonalny stosunek?

Waclaw: Tak.

A.M.: Pamiętasz jakieś szczególne okazy?

Waclaw: Pewnego razu wykopałem gigantyczny agat. Ważył 50 kilogramów! Natura przecięła go na pół: pamiętam, że miał biały pas dookoła, a w środku czerwono - brązowe paski. Ten kamień kupiło ode mnie Muzeum Mineralogiczne we Wrocławiu. Pieniądze przysłali najpierw, a kurier po odbiór miał się zgłosić później. Gdy zobaczyłem szczuplutkiego młodzieńca z plecakiem wysiadającego z autobusu, zwątpiłem, czy da sobie radę. Martwiłem się, czy kamień w całości dotrze na miejsce, przecież pieniądze już wziąłem. W podróży autobusem agat mógł być narażony na uderzenia, mógł się ukruszyć. Pamiętam, że gdy załadowałem na plecy temu młodziankowi plecak z agatem, to aż się, biedny, ugiął - wspomina z rozbawieniem Waclaw. - Ale chyba jakoś dojechał na miejsce, bo muzeum nie rościło pretensji.

A.M.: Twoja kolekcja, Zosiu, wydaje się mniejsza, niż Wacka?

Zofia: No tak, bo przecież Wacek zaczął zbierać agaty wcześniej niż ja. A poza tym wiele z moich agatów poszło na wymianę za inne minerały, które albo leżą w kolekcji Waclawa, albo wymiana dotyczyła np. urządzeń do obróbki tych kamieni.

A.M.: Potraficie obrabiać kamienie i szlifować agaty?

Waclaw: Na początku zbierania postanowiłem, że z agatu zrobię na przykład oczko do pierścionka. Razem z braćmi umocowaliśmy kamień w drewnie, potem szlifowaliśmy go zdobytym nie wiadomo skąd

ciąg dalszy na stronie 7